

Czy angielski zastąpił (w Polsce) łacinę?  
Kilka uwag o kwestii językowej  
na kanwie *Nowel i opowiadań*  
Henryka Sienkiewicza

I

Andrzej Kijowski w eseju *Granice literatury* pisze o specjalnej roli, jak to nazywa „ideotwórczej”, jaką literatura nabrała w Polsce (to jest w tzw. Królestwie Kongresowym) po powstaniu styczniowym, gdy lokalne życie polityczne, mieszczące się w wąskich granicach autonomii przyznanej temu terytorium przez Rosję, przestało istnieć w warunkach bezpośrednich i despotycznych rządów administracji rosyjskiej:

Do nastrojów tych doskonale pasuje lektura *Pana Tadeusza*, deklamacja półgłówna *Reduty Orzona* czy *Śmierci pułkownika*, albo wreszcie *Statku Litwosa* (Sienkiewicza), jak to pysznie opisuje Maria Dąbrowska: *Wszyscy do pomp – woła spiżowym niemal głosem pani Michalina. Słuchano w zadumie i goście przyklasnęli zawartej w utworze myśli, zgodzono się bez sporu, że teraz, kiedy wszelka broń została narodowi wytrącona, pozostaje praca u podstaw, wszyscy u swoich warsztatów, czyniąc, co można, by się nie dać i przetrwać. I każdy czuje się właśnie tym stojącym przy pompie... Zaśpiewano pieśń z „Dziadów”: „Zemsta, zemsta na wroga”...<sup>1</sup>.*

Nie jest moim zamiarem sugerowanie, jakoby dzisiaj sytuacja polityczna w Polsce była podobna do tej, jaka nastąpiła po stłumieniu powstania styczniowego, choć niewątpliwie istnieją dziś środowiska polityczne, które ujmują wstąpienie Polski do Unii Europejskiej w kategoriach klęski narodowej porównywalnej do upadku któregoś z powstań, lub do katastrofy rozbiorów. Nawet jednak tzw. euroentuzjastom trudno byłoby zaprzeczyć, że integracja europejska wiąże się z perspektywą coraz silniejszych wpływów już to obcych kultur narodowych, już to niezwykle potężnej międzynarodowej kultury kosmopolitycznej, której trudno przypisać dokładny adres, chociaż przeważnie kojarzy się ją z tzw. światem anglosaskim.

---

1. Andrzej Kijowski, *Granice literatury. Wybór szkiców krytycznych i historycznych*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1991, tom 1, s. 38. (Kursywa w oryginale).

Słowo „wpływ” ma oczywiście swój wymiar metaforyczny, oznacza wlewanie się z jakiegoś zewnątrz do jakiegoś wnętrza. Stawia to przed nami problem celności, lub też absurdalności, przywołanej przez Kijowskiego, a wcześniej przez Dąbrowską, a jeszcze wcześniej użytej przez Sienkiewicza, w opowiadaniu *Legenda żeglarska*, metafory statku, noszącego dumne miano „Purpura”, który tonie, bo wlewa się w niego zbyt wiele z tego obcego żywiołu. Jak to dramatycznie ujmuje sam autor:

Wichry zmieszały ocean z chmurami w jeden piekielny zamęt. Wstały słupy wodne i leciały z hukiem na „Purpurę”, straszne, spienione, wrzące<sup>2</sup>.

Jeśli ta przenośnia w jakiegokolwiek mierze przystaje do rzeczywistości, to należy być może poważnie rozważyć hasło „wszyscy do pomp” rzucone przez panią Michalinę w powieści *Noce i Dnie* Marii Dąbrowskiej. Sienkiewicz zresztą nie wspomina o pompach, opowiada natomiast najpierw o tym, jak to marynarze „poczęli bić z dział do wichrów i fal spienionych”, a następnie „chwyciwszy co kto miał pod ręką, poczęli chłostać morze”<sup>3</sup>. Niestety wyżej opisane działania nie przynoszą oczekiwanych skutków i marynarze popadają w rozpacz, nie mając, najwidoczniej, lepszych pomysłów. Wówczas to odzywają się tajemnicze głosy mówiące:

– O, zaślepieni! Nie z dział wam bić do burzy, nie fale chłostać, ale statek naprawiać! Zstąpcie na dno. Tam pracujecie. „Purpura” jeszcze nie zginęła.

Na owe słowa drgnęli ci na wpół umarli i rzucili się wszyscy na spód i rozpoczęli pracę od spodu<sup>4</sup>.

Owo „naprawianie od spodu” należy sobie zapewne wyobrazić przede wszystkim jako uszczelnianie podwodnej części statku, oraz usuwanie, prawdopodobnie przy pomocy pomp, nagromadzonej tam wody. Tak czy owak, chodzi o eliminację zastanych, czy potencjalnych „wpływów”.

Jaka, na gruncie tej metafory, może być rola anglistów, fachowców od propagowania obcej i jednocześnie *par excellence* kosmopolitycznej kultury? Nasuwa się odpowiedź, że będzie to rola takich, co to odwracają działanie owych symbolicznych pomp, zamiast wypompowywać, oni wtłaczają w nieszczęsny statek jeszcze więcej wody, kolaborując w ten sposób z „wichrami” i „wodnymi

---

2. Henryk Sienkiewicz, *Legenda żeglarska*, w: Henryk Sienkiewicz, *Wybór nowel i opowiadań*, red. Tadeusz Bujnicki, Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1986, s. 421.

3. Henryk Sienkiewicz, *Wybór nowel...*, s. 422.

4. Henryk Sienkiewicz, *Wybór nowel...*, s. 422.

słupami”. Oczywiście, angielski owi mogą pocieszać się, że ich działalność da się opisać przy pomocy jakiejś innej, mniej kompromitującej metafory. Na przykład mogą sobie pomyśleć, że są ogrodnikami podlewającymi wodą przyniesioną z odległych, a więc prawdopodobnie czystszych, źródeł wątłą roślinkę miejscowej demokracji, czy państwa prawa, lub też „prawdziwej”, ewentualnie „wyższej” kultury. Woda to oczywiście niezwykle ambiwalentny symbol, jej życiodajne aspekty równoważone są przez skojarzenia z niszczycielskim żywiołem. Z drugiej strony, mówienie o „wyższej” kulturze kojarzy się, zwłaszcza w naszych czasach, bardzo brzydko, przywołując na myśl, w najlepszym razie, bezwstydną snobizm, a w najgorszym razie, aroganckie „kulturtregerstwo”, lub nawet teorie o „nadczołowieku”, lub „rasie panów”.

Można też próbować „dekonstruować” Sienkiewiczowską metaforę sięgnąwszy, na przykład, do etymologii. Wówczas okaże się, że słowo „purpura”, pochodzenia greckiego, odnosi się, w swej najpierwotniejszej warstwie, do wzburzonego morza (później zaczęło oznaczać małe rybki, z których sporządzano barwnik nadający tkaninom wysoko ceniony purpurowy odcień). W takim razie „Purpury” nie trzeba bronić przed inwazją morskich fal, bo fale te stanowią o jej głębokiej istocie. Innymi słowy, to, co wlewa się z zewnątrz, jest, w gruncie rzeczy, tym samym, co „od zawsze” nie tylko było w środku, ale i było środkiem. Jeżeli słyszymy, na przykład, polskiego anglistę, lub mniej lub bardziej zanglizowanego (czy zamerykanizowanego) polskiego kosmopolitę, mówiącego rzeczy w rodzaju „ten sylabus apeluje tylko do dedykowanych studentów”, (co zapewne w języku „bardziej polskim” brzmiałoby: „ten program studiów podoba się tylko gorliwym studentom”), to można ten styl wypowiedzi opisać, w zgodzie z językoznawczą terminologią, jako pełen tzw. „barbaryzmów”, wziętych „żywcem” z języka angielskiego, nie sposób jednak nie zauważyć, że są to bardzo cywilizowane „barbaryzmy”, których źródła tkwią w łacinie i w grece, czyli w językach, przy pomocy których próbowano od wieków, również w Polsce i, generalnie, w naszej części Europy, walczyć z barbarzyństwem. Barbarzyństwo zaś to coś, co, z definicji, zawsze znajduje się na zewnątrz.

## II

Użyta przez Sienkiewicza metafora zagrożonego zatonięciem na wzburzonym morzu statku oznaczającego ojczyznę, czy „nawę państwową”, jest oczywiście sama w sobie dość kosmopolityczna i ma swoje szacowne źródła w szeroko pojętej tradycji śródziemnomorskiej. Metafory tej używa Dante w *Boskiej komedii*, gdzie w opisie czyścica jedna z dusz tam cierpiących wydaje z siebie następujący okrzyk:

Ahi serva Italia, di dolore ostello,  
nave senza nocchiere in gran tempesta,  
non donna di province, ma bordello!

*Biedna Italia, bólu gościnnica,  
Śród wielkiej burzy – bez sternika nawa;  
O już nie pani ludów – nierządnic!*<sup>5</sup>

Poezja Dantego wyrasta oczywiście przede wszystkim z tradycji łacińskiej, i dlatego porównanie powyższe znajdziemy także, na przykład, u Cyncerona, który w roku 55 przed Chrystusem w mowie przeciwko Kalpurniuszowi Pizonowi przechwala się nieco, mówiąc: „[...] in maximis tempestatibus ac fluctibus rei publicae navem gubernassem salvamque in portu collocassem” („wśród wielkich burz i powodzi nawą rzeczpospolitej kierowałem i pomyślnie ją do portu przyprowadziłem”)<sup>6</sup>. Bezpośrednim jednak źródłem inspiracji Sienkiewicza była prawdopodobnie *Oda XIV* Horacego – a wiadomo, że Sienkiewicz doskonale znał i tłumaczył jego utwory – której pierwsza zwrotka brzmi następująco:

O navis, referent in mare te novi  
fluctus, o qui agis? fortiter occupa  
portum, nonne vides, ut  
nudum remigio latus

*Czyż trzeba, by cię nowa fala niosła  
Na pełne morze, w sinych wód zamęcie?  
Lepiej tu w porcie, pozbawiony wiosła,  
Zostań okręcie!*<sup>7</sup>

Horacy nawet nie wzywa do ratowania tonącego statku, wątpi czy statek ten w ogóle nadaje się jeszcze do użytku, dając tutaj, być może, wyraz lękom panującym w Rzymie przed konfrontacją z potęgą militarną reprezentowaną przez połączone siły Antoniusza i Kleopatry, przy czym Kleopatra, królowa Egiptu, kojarzona była, także z racji swojej płci, z tajemniczym i rozwiązłym Wschodem wrogim w stosunku do patriarchalnych tradycji Rzymu.

Mamy tu oczywiście do czynienia z figurą mowy zwaną alegorią, która w retoryce łacińskiej uważana była za pokrewną ironii, jako że opiera się na porównaniu dwóch różnych idei<sup>8</sup>, które z łatwością mogą objawić swoją nieprzystawalność, i wówczas możemy, świadomie lub nieświadomie, powiedzieć coś, nie mówiąc tego wprost. Tak się dzieje z alegorią Cyncerona, któremu udało się, jak sam twierdzi, doprowadzić republikę rzymską do bezpiecznego portu na moment

5. Dante Alighieri, *La divine comédie, Le Purgatoire, Purgatorio*, przeł. J. Risset, Flammarion, Paris 1988, s. 62. (Purg. VI, 76–78); polski przekład: Dante Alighieri, *Boska Komedia (wybór)*, przeł. Edward Porębowicz, Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1986, s. 187

6. Por. Heinrich Lausberg, *Retoryka literacka. Podstawy wiedzy o literaturze*, przeł. Albert Gorzkowski, Wydawnictwo Homini s.c., Bydgoszcz 2002, s. 483.

7. Kwintus Horacjusz Flakkus, *Dzieła wszystkie, tom I (Ody i epody)*, oprac. Oktawiusz Jurewicz, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2000, s. 98–99. Cytowany fragment przełożył L.H. Morstin.

8. Por. Kwintus Horacjusz Flakkus, *Dzieła wszystkie*, s. 482.

przed jej faktycznym zatonięciem, czyli likwidacją w wyniku wojen domowych i powstania pryncypatu, czyli cesarstwa rzymskiego. Z kolei, utożsamiający się z pryncypatem Oktawiana Horacy zaniża wartość militarną sił Oktawiana, i w ten sposób, być może, przyczynia się do mobilizacji sił państwa rzymskiego. To samo dzieje się z alegorią Sienkiewicza, która zapewne niezgodnie z intencją autora, sugeruje walkę z wszelkimi zewnętrznymi wpływami, choć i tu możemy podejrzewać, jak w przypadku Horacego, celową przesadę, przy czym nie chodzi tu o walkę o panowanie nad światem, ale o zachowanie podstawowej tożsamości kulturowej narodu.

Podobna nieprzystawalność wynika z założonego w tytule niniejszego opracowania porównania, czyli postawienia niejako znaku równości, między społeczną rolą i statusem języka angielskiego i łacińskiego. Te dwa języki, mimo że często, zwłaszcza ostatnio, ze sobą porównywane, łączy głównie to, że łacina kiedyś, a angielski obecnie, spełnia rolę *lingua franca*, czyli języka międzynarodowego porozumienia. Warunki tego porozumienia są jednak zupełnie inne. Mówiąc o międzynarodowej roli łaciny, należy rozróżnić, przede wszystkim, między epoką Republiki i Cesarstwa Rzymskiego, z jednej strony, kiedy to łacina, będąc jeszcze językiem żywym, używana była nie tyle obok, ile zamiast języków lokalnych, które, pod jej wpływem często po prostu znikwały z powierzchni ziemi, tak jak języki celtyckie na terenach dzisiejszej Francji czy Hiszpanii; a, z drugiej strony, epoką średniowiecza i czasów późniejszych, kiedy to łacina, powoli przekształcając się w tzw. „język martwy”, była rzeczywiście językiem ponadnarodowym i międzynarodowym, funkcjonującym w warunkach najpierw bardzo słabej, a potem coraz silniejszej, konkurencji ze strony nowych języków regionalnych i narodowych, często zresztą wywodzących się, w przypadku języków romańskich, z tejże łaciny. Ten stan rzeczy trwał, mniej więcej, do połowy XVII wieku, czyli do momentu, gdy francuski złuzował łacinę w roli języka dyplomacji, ale trzeba pamiętać, że w wielu innych dziedzinach życia wysoki status łaciny, na obszarze większości krajów Europy, utrzymał się aż, mniej więcej, do połowy XX wieku.

Jeśli zaś chodzi o język angielski, to należy podkreślić, że, chociaż i jemu udało się w fazie dynamicznej ekspansji zlikwidować szereg języków lokalnych, takich jak większość języków Indian północno-amerykańskich, to jednak panowanie jego nigdy nie było, ani prawdopodobnie nie będzie, tak absolutne i niezaprzeczalne jak panowanie łaciny w ramach tzw. Europy łacińskiej, zwłaszcza w epoce głębokiego średniowiecza, gdy łacina była nie tylko pomocą w kontaktach międzynarodowych, ale też podstawą jakiegokolwiek wykształcenia, i jakiegokolwiek kariery opartej na wykształceniu, także wewnątrz poszczególnych społeczności, niekoniecznie na tzw. arenie międzynarodowej. Trudno też nie wspomnieć o tym, że łacina, aż do drugiej połowy XX wieku, była międzynarodowym „językiem świętym”, tj. używanym w obrządkach, w świętych księgach, a często

i w codziennym życiu, kościoła katolickiego, który, jak wiadomo, był bardzo potężną, ponadnarodową instytucją w Średniowieczu, i którego siła zaczęła dość gwałtownie słabnąć poczynając od pierwszej połowy XVI wieku. Tymczasem angielski – który musiał bardzo długo czekać na, nieformalne zresztą, uznanie go za pierwszy język międzynarodowy, co nastąpiło, paradoksalnie, dopiero w czasach ostatecznego upadku słynnego Imperium Brytyjskiego, tj. po drugiej wojnie światowej – zawsze funkcjonował, i wszystko wskazuje, że tak też będzie w przyszłości, jako, co najwyżej, tzw. *primus inter pares*, czyli pierwszy między równymi. Zmuszony on jest przeto do konkurencji z w pełni wykształconymi językami narodowymi, spośród których kilka od dawna miało, i przeważnie nadal ma, swoje własne „imperialne” ambicje międzynarodowe. Użytkownicy, czy zwolennicy, tych właśnie języków często nadal patrzą na język angielski jak na parweniusza, którego czołowa pozycja nie wynika z żadnej wyższości duchowej czy kulturowej, lub przynajmniej ze starszeństwa kulturowego (jak to miało miejsce w przypadku łaciny), a jedynie z dość przypadkowego układu sił politycznych, ekonomicznych i militarnych. Ponadto angielski niezbyt się nadaje do zastąpienia łaciny w roli wspólnego języka Europy, za bardzo kojarzy się z pewnym transatlantyckim „supermocarstwem”, a więc ci, całkiem liczni i chyba coraz liczniejsi, którzy chcieliby podkreślać odrębność Europy, czy Unii Europejskiej, od tegoż mocarstwa patrzą i będą patrzeć na przodującą rolę angielskiego, w najlepszym wypadku, z podejrzliwością i niewielkim entuzjazmem, nawet, jeśli w praktyce będą się z tą rolą godzić.

Ma to wszystko swoje praktyczne konsekwencje: w niewielu krajach, czy społecznościach ludzie uczą się angielskiego z podobnym zapałem, lub w warunkach podobnej dyscypliny, w jakiej kiedyś nauczano łacinę – skutki, czyli poziom znajomości języka, też są na ogół gorsze. Z drugiej strony, prawdą jest też, że łacina, nawet w okresie swojej największej potęgi, miała dość ograniczony zasięg geograficzny i społeczny, nie wychodziła daleko poza Europę, i poza dość wąską elitę, która się nią posługiwała. Kobiety, na przykład, nawet w Średniowieczu – i nawet, jeśli należały do warstw wysoce uprzywilejowanych – łacinę znały bardzo rzadko, co zresztą wcale przyczyniło się do rozwoju języków i literatur narodowych. Pod tym względem przewaga angielskiego nad łaciną jest wyraźna: jest on językiem o wiele bardziej demokratycznym, a jego zasięg jest globalny, rozprzestrzenia się on, używając znowu wodnych metafor, o wiele szerszą, ale też i płytszą falą, niż jego poprzedniczka.

Jeśli zaś chodzi o alegorię statku – ojczyzny, to jest ona dobrze znana również w literaturze anglojęzycznej i trudno, żeby nie była biorąc pod uwagę liczne i ściśle związki zarówno Anglii jak i innych krajów anglosaskich z morzem i jego sprawami. W literaturze angielskiej najbardziej przekonującym przykładem wykorzystania tej alegorii jest, moim zdaniem, wizja Anglii jako odwiecznego statku opierającego

się falom oceanu, z ostatniego rozdziału *Murzyna z załogi „Narcyza”* Josepha Conrada<sup>9</sup>. W literaturze amerykańskiej oczywistym przykładem jest powieść Hermana Melville’a *Moby Dick*, która jest w całości rozbudowaną alegorią Stanów Zjednoczonych wyobrażonych jako statek wielorybiczny, mocniejszy niż statki innych narodowych bander, którego załoga jednak jest opanowana fatalną obsesją zabicia, również ze wszech miar alegorycznego, białego wieloryba, czyli Moby Dicka, co ostatecznie kończy się katastroficzną wizją (tak typową dla amerykańskiej kultury) zagłady statku wraz z jego załogą. Nie jest chyba przypadkiem, że obydwa te przykłady, podobnie jak *Legenda żeglarska* Sienkiewicza, pochodzą z literatury drugiej połowy XIX wieku, który był okresem wielkich osiągnięć w dziedzinie żeglugi morskiej traktowanych jako jeden z najbardziej dobitnych dowodów potęgi i żywotności zachodniej cywilizacji, a także epoką rozgrzanych do białości nacjonalizmów. Ciekawe, że literackich korzeni tej fascynacji motywem pokonywania morskiego żywiołu należy chyba szukać w całkowicie pozbawionej nacjonalistycznych akcentów słynnej pieśni chóru z Antygony Sofoklesa, zaczynającej się od słów: „Siła jest dziwów, lecz nad wszystkie sięga / Dziwy człowieka potęgą”.

### III

Jest oczywiście truizmem powiedzieć, że łacina, a w mniejszym stopniu greka, głęboko wrosła w tkankę języka polskiego, a także innych języków europejskich, nie wyłączając oczywiście angielskiego. Polacy epoki Baroku namiętnie przeplatali polszczyznę cytatami łacińskimi, stosując tak zwany styl makaroniczny, którego funkcją, wypełnianą, przynajmniej, dość niezdarnie, było godzenie patriotycznego obowiązku mówienia w języku narodowym, z wymogami czegoś, co można by nazwać patriotyzmem wyższego rzędu, polegającym na utożsamianiu się z pewną międzynarodową formacją kulturową zwaną „cywilizacją łacińską”, do której ówczesni Polacy, czyli szlachta polska, przyznawali się bardzo chętnie, widząc siebie jako przedmurze, czyli „awangardę”, tejże cywilizacji.

Dzisiaj Polska znowu jest, w ściśle geograficznym sensie, przedmurzem Unii Europejskiej, jednak zdaje się, że nikt nie próbuje dorobić do tego faktu ani kultury ani filozofii, i nikogo nie na napawa to dumą. Charakterystyczne jest, że przy okazji międzynarodowego szczytu ekonomicznego w Warszawie w 2004 roku, prezydent Warszawy stwierdził, że takie wydarzenia umieszczają stolicę naszego kraju w centrum Europy i są odpowiedzią dla tych, co by ją jeszcze widzieli na tejże Europy peryferiach. Nikt też nie próbuje porównywać udziału

---

9. Por. Joseph Conrad, *The Nigger of the „Narcissus”*, Penguin Books, London 1988, s. 120–121.

polskich wojsk w operacji irackiej z wyprawą Jana III Sobieskiego pod Wiedeń w r. 1683, lub (nie daj Boże) z wyprawą Władysława III pod Warnę w r. 1444. Wszystko to wyraźnie pokazuje, że myślenie w kategoriach reduty, przedmury, i „kresowych stanic” nie działa na wyobraźnię współczesnych Polaków, choć modne jest kultywowanie nostalgii za utraconymi ziemiami wschodnimi i ich specyficzną wielokulturowością.

Dość często natomiast, i być może słusznie, porównuje się wstąpienie Polski do Unii Europejskiej w 2004 roku do tzw. Chrztu Polski w roku 966. W obydwu tych wypadkach wychodziliśmy z prowincjonalnego cienia i zbliżaliśmy się, przynajmniej zdaniem wielu, do centrum cywilizacji. Jest w tym jakiś paradoks, gdyż w dziesiątym wieku przyjęliśmy chrześcijaństwo w wersji łacińskiej, która okazała się niezdolna do objęcia również krajów leżących na wschód od Polski, tak jak zresztą i współczesna UE nie wydaje się zdolna do przekroczenia linii Bugu. Zarówno więc rok 966, jak i 2004 umieścił nas dość jednoznacznie na skraju, a nie w środku, i trzeba by się chyba z tym jakoś pogodzić.

W XVI i XVII wieku goście z europejskiego Zachodu byli w Polsce zaskoczeni dość powszechną znajomością łaciny i jej użyciem w wielu sferach życia, podczas gdy w krajach takich jak Francja, czy Anglia, łacina cofała się już wtedy bardzo wyraźnie pod wpływem ekspansji nowożytnych języków narodowych<sup>10</sup>. Język starożytnych Rzymian, będący w Średniowieczu symbolem przynależności do głównego nurtu cywilizacji Zachodu, zaczynał być powoli kojarzony z kulturą peryferii, nie tylko polskich zresztą. Na Węgrzech jeszcze w XIX wieku obrady parlamentu odbywały się po łacinie, a surowy reżim niemieckich gimnazjów klasycznych, kładący główny nacisk na łacinę i grekę, słusznie jest kojarzony przede wszystkim z Prusami, czyli ze wschodnią, mniej cywilizowaną, częścią Niemiec. Ten model edukacyjny naśladowany też był na ziemiach polskich, a nawet i w głębi imperium rosyjskiego. Wykłady na uniwersytetach rosyjskich w Moskwie i Petersburgu prowadzone były po łacinie w czasach, gdy zwyczaj ten niemal już zanikł na Zachodzie.

Oczywiście to zjawisko „prowincjonalizacji” łaciny, oswajając ją w oczach lokalnych społeczności, nie odbierało jej waloru języka neutralnego i łącznika między narodami. Jeżeli pojedziemy do uzdrowiska Duszniki Zdrój (dawniej Bad Reinerz) na Dolnym Śląsku to zobaczymy tam starą tablicę upamiętniającą pobyt w tej miejscowości Fryderyka Chopina w roku 1826, tablica ta ułożona jest po łacinie, która była jedynym językiem do zaakceptowania zarówno przez Polaków, którzy tę tablicę umieścili, jak i przez Niemców, na których terytorium została ona umieszczona. W Kaliszu najstarszym mostem w mieście,

---

10. Jest na ten temat wiele świadectw; jedno z nich można znaleźć w książce Henryka Zinsa, *Polska w oczach Anglików XIV–XVI w.*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974, s. 271.



spinającym brzegi rzeki Proсны, jest most zwany Kamiennym, lub Aleksandryjskim, ukończony w 1825 roku, a w jego środkowej części, po obydwu stronach biegnącej tam jezdnii możemy odczytać długi napis po łacinie sławiący Aleksandra Pierwszego Pawłowicza jako króla Polski i Imperatora Wszechrosji. Prawdopodobnie i tu łacina odegrała rolę języka neutralnego, do zaakceptowania zarówno przez stronę polską, jak i rosyjską. Oczywiście w aktualnych przewodnikach nie znajdziemy żadnej wzmianki o tych napisach, zapewne zgodnie z nowoczesną zasadą, stanowiącą zaprzeczenie dawnej tradycji, że *Latinae non leguntur* (nie czyta się tego, co napisane po łacinie).

Gdyby ktoś jednak uważał, że łacina służyła głównie do układania uroczystych napisów, to można by mu polecić książkę Aleksandra Wojciecha Mikołajczyka *Łacina w kulturze polskiej*, która zaświadcza, że łacina bywała w Polsce używana, choć w znacznie wcześniejszych, bo późno-średniowiecznych, czasach i w środowisku krakowskich żaków, czyli studentów UJ, także do tworzenia tekstów bardzo użytkowych i ulotnych. W języku tym układano wiersze miłosne, ale także satyryczne i zawierające niezbyt wybredne, choć często wierszowane, wyzwiska i obraźliwe epitety pod adresem konkretnych osób, ale także całych narodów, o Niemcach, na przykład, mówiło się, że są zrodzeni *de culo Pilati*, co pokazuje, po pierwsze, że „dla krakowskich żaków łacina w żadnym razie nie była językiem obcym”<sup>11</sup>, choć był to język daleki od cycerońskiej czystości, i nie wolny od lokalnych polskich i środkowoeuropejskich wpływów<sup>12</sup>, a po drugie, że służyła nie tylko międzynarodowemu porozumieniu, ale i wyrażała brak takiego porozumienia. Również dekret Władysława Łokietka (z 1312?), nakazujący prowadzenie krakowskich aktów miejskich po łacinie<sup>13</sup>, choć niezbyt konsekwentnie przestrzegany, miał ostrze jednoznacznie antyniemieckie. Takie samo ostrze miał czternastowieczny łaciński poemat o stłumieniu buntu Niemców krakowskich pod wodzą wójta Alberta *De quondam advocato Cracoviensi Alberto (O pewnym wójcie krakowskim Albercie)*, a także nadzwyczaj patriotyczne, choć też łacińskie, *Annales seu cronicae incliti Regni Poloniae (Roczniki – czyli Kroniki sławnego Królestwa Polskiego)* autorstwa Jana Długosza. Długosz pisał po łacinie w XV wieku, co może nam się wydawać naturalne, ale pamiętać należy, iż we Francji już w wieku XIII powstają ważne dzieła historyczne w języku narodowym.

Trzeba też jednak pamiętać i o tym, że w XV wieku król polski Kazimierz Jagiellończyk (uważany przez niektórych za największego króla polskiego) był przeciwnikiem czeskich husytów, którzy propagowali używanie języka

---

11. Aleksander Wojciech Mikołajczyk, *Łacina w kulturze polskiej*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1998, s. 126.

12. Por. Aleksander Wojciech Mikołajczyk, *Łacina w kulturze polskiej*, s. 126.

13. Aleksander Wojciech Mikołajczyk, *Łacina w kulturze polskiej*, s. 110.

narodowego. W takiej sytuacji, paradoksalnie, za większego polskiego patriotę mógł być uważany ten, kto nie pisał po polsku, niż ten, kto pisał, pod warunkiem, oczywiście, że ten pierwszy pisał po łacinie, spełniającej rolę głównego języka urzędowego królestwa. Tak więc łacina w kulturze polskiej pełniła, przynajmniej w niektórych okresach i niektórych kręgach społecznych, dość nieoczekiwaną funkcję języka obcego i rodzimego jednocześnie. Ten paradoks został później niejako odzwierciedlony w specyficznym stosunku do kościoła rzymsko-katolickiego traktowanego jednocześnie jako kościół powszechny i narodowy, choć oczywiście pogodzenie tych wymiarów nigdy łatwe nie było i nadal wynikają z tego konflikty, także wewnątrz samego Kościoła.

Czy dzisiaj obserwujemy podobne zjawiska? Kiedy wchodzę do księgarni katolickich w Polsce i pytam się o teksty religijne po łacinie, to słyszę odpowiedź, że się ich już nie wydaje, bo rolę łaciny przejął (rzekomo) angielski. Ale angielskich książek czy tekstów w tego typu księgarniach również nie mają – i zresztą nie twierdzą bynajmniej, że powinni mieć. W końcu, jak już powiedzieliśmy, angielski nie jest, i raczej już nie będzie, w przeciwieństwie do łaciny, językiem świętym, mimo że „świętość” łaciny też jest (czy była) nieco paradoksalna, gdyż – w przeciwieństwie do greki czy hebrajskiego – nie jest ona oryginalnym językiem żadnej z biblijnych ksiąg. „Nieświętość” angielskiego wynika oczywiście przede wszystkim z faktu, że jest on, jak się zwykło mówić, językiem żywym. Będąc zaś językiem żywym wytwarza on rzecz jasna szacowne formy archaiczne, jak na przykład język angielskiej *Biblii Króla Jakuba* z 1611 roku, ale w swej istocie nie może się pochwalić hieratyczną statycznością i niezmiennością (czy raczej bardzo powolną zmiennością) charakterystyczną dla łaciny w jej późnej fazie rozwoju, gdy została na dobre przywiązana do wzorców i reguł wyjętych z dzieł pisarzy żyjących w czasach Cezara i Augusta. Wręcz przeciwnie, angielski tym różni się między innymi od francuskiego czy niemieckiego, że nie istnieją instytucje, które mogłyby go w sposób jednoznaczny kodyfikować, czy reformować, więc rozwija się w sposób dość spontaniczny i chaotyczny, choć, rzecz jasna, nie tak spontaniczny, jak w czasach Szekspira, gdy nie było jeszcze żadnych autorytatywnych angielskich słowników, czy podręczników gramatyki.

Nie będąc martwą, angielszczyzna również nie posiada niezwykle ważnego atutu kulturowej neutralności, nigdy nie będzie więc w pełnym tego słowa znaczeniu językiem międzynarodowym, gdyż dzieli ludzkość na dwie rażąco nierówne klasy: tych (uprzywilejowanych), dla których jest to język ojczysty, i tych, dla których jest język wyuczony. Oczywiście i łacina (podobnie zresztą jak i esperanto) nie jest pod tym względem całkiem neutralna, na pewno, przynajmniej potencjalnie, łatwiej ją opanowywali przedstawiciele narodów romańskich, niż innych. Ale też dlatego to właśnie ludzie wywodzący się z narodów nieromańskich, przeważnie Niemcy i inni Germanie – tacy jak Erazm

z Rotterdamu – choć nie tylko, zrobili wiele (nie do końca zdajemy sobie sprawę, jak wiele), by utrzymać archaiczny charakter łaciny, starając się w ten sposób zapobiec, świadomie lub nieświadomie, swoistemu zawłaszczeniu jej przez Włochów, czy Francuzów.

Dzisiaj widzimy w świecie anglojęzycznym dążenie do zdobycia dla angielskiego tego waloru kulturowej neutralności. Próbuje się to osiągnąć lansując tezę, że nie istnieje jeden język angielski, ale wiele regionalnych języków angielskich (*the World Englishes*). Ta swego rodzaju pluralizacja angielskiego ma doprowadzić zapewne do powstania wrażenia, że język ten oderwał się już od swej tradycyjnej geograficznej bazy i teraz unosi się nad światem niczym wielokolorowy balon. Jest to oczywiście postępowanie ryzykowne, gdyż może oznaczać rozmienienie na drobne ogromnej materialnej i kulturowej potęgi, która z reguły imponowała tym, którzy decydowali się na próbę opanowania tego języka. Oczywiście ryzyko dotyczy tylko tych, którzy to wielokulturowe przebranie angielskiego wezmą za dobrą monetę, a co lepiej zorientowani wiedzą przecież, że istnieją tylko dwie prestiżowe odmiany języka angielskiego: brytyjska i amerykańska. *Tylko* dwie i *aż* dwie, z czego wynika szereg problemów, które jednak wykraczają poza zakres niniejszej pracy.

#### IV

Sienkiewiczowskie nowele i opowiadania z wczesnego okresu jego twórczości, od których zaczęliśmy niniejsze opracowanie, dostarczają nam sporo materiału ukazującego – w sposób być może niezbyt obiektywny – relacje międzynarodowe i „międzyjęzykowe” na ziemiach polskich w epoce pozwalającą się z grubsza określić jako lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte XIX wieku, choć autor rzadko ułatwia dokładne, czy nawet przybliżone, określenie czasu akcji. XIX wiek był niewątpliwie okresem niesłychanie ważnym dla kształtowania się językowego, a co za tym idzie także kulturowego, oblicza ziem polskich. Państwo polskie nie istniało, lub istniały tylko jego dość karykaturalne namiastki w rodzaju Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego, czy autonomicznej Galicji. Możliwości penetracji środowisk polskich przez języki i kultury obce, nie koniecznie tylko kojarzone z państwami zaborczymi, były ogromne, a perspektywa zupełnego wynarodowienia, czyli zatopienia narodowego okrętu, całkiem realna. Cały więc ten okres, z polskiego punktu widzenia, i nie tylko w zaborze pruskim, był jednym wielkim „kulturkampfem”.

Nie należy, co prawda, przeceniać znaczenia braku niepodległości w tym kontekście. W Rosji, na przykład, nie tylko niepodległej, ale i mocarstwowej, rządząca elita w XIX wieku (zwłaszcza w pierwszej jego połowie) była mocno sfrancuziała,

czego pośredni dowód daje Aleksander Puszkina w swoim eposie pt. *Eugeniusz Oniegin*. Główna bohaterka tego poematu, Tatiana, jest osobą, która pomimo czysto rosyjskiego pochodzenia i zamieszkania w Rosji niepewnie się czuje na gruncie języka rosyjskiego, pisze listy do swego ukochanego po francusku, a, co gorsza, ma problemy z wysłowieniem się po rosyjsku nawet w rozmowie<sup>14</sup>.

Nowela Sienkiewicza *Nikt nie jest prorokiem między swymi* (z roku 1872) poświęcona jest w dużej mierze problemowi snobizmu językowego, który w tamtych czasach przybierał formy o wiele bardziej ekstremalne, niż dzisiaj. Już sam początek nadaje ton całości – autor, czy też raczej „podmiot czynności twórczych”, kierując się zasadami dość nowoczesnego autotematyzmu, mówi nam, że o mały włos nie posłuchał rady swego przyjaciela, który uważał, iż francuska wersja tytułu *Nul n'est prophète en son pays* byłaby lepsza niż tytuł polski, gdyż wielu czytelników może przychylnie potraktować dzieło mało znanego (podówczas) pisarza, jeśli tytuł będzie francuski. Ostatecznie autor decyduje się pozostać przy polskim tytule, gdyż, jak mówi, „nie ma zasad” ani „punktu wyjścia” – i nie potrafi naginać się do „dobrego tonu”, który pozwala na wejście do „najlepszego towarzystwa”<sup>15</sup>.

W innej noweli tegoż autora pt. *Hania*, guwernantka, która, jak zwykle bywało, jest rodowitą Francuzką i nazywa się Mademoiselle d'Yves, odmawia uczenia tytułowej bohaterki języka francuskiego, gdyż jest ona zaledwie wnuczką starego sługi. Sługa ten był szlachcicem, ale nie dość wysokiego rodu i dlatego pełnił funkcję służebną, z czym zresztą, jako człowiek starej daty i „znający swoje miejsce”, był doskonale pogodzony. Sama idea uczenia Hani francuskiego mogła powstać zresztą dopiero po śmierci owego starego sługi, który – prawdopodobnie – jako opiekun Hani, nigdy by na takie fanaberie nie pozwolił.

Jak widać z powyższego, i jak wiadomo z innych źródeł, w XIX wieku (a gdzieś tam już wcześniej) język francuski w pewnym sensie zastąpił łacinę – i widać też, że nie odbywało się to bez poważnych oporów. Jeszcze w 1767 r. warszawskie pismo „Monitor” ostrzegało przed porzuceniem łacińskich klasyków:

[Ż]le czynią ci, którzy zaniechawszy tych mistrzów, do samych francuskich czy innego narodu autorów czytania młódz naszą zachęcają. Czystsza jest i zdrowsza woda w samym źródle, niż w strumykach z niego wypływających<sup>16</sup>.

Oczywiście, o ile francuski może być, w pewnym sensie, opisany metaforą „strumyka wpływającego z łacińskiego źródła”, o tyle metafora ta słabo nadaje

14. Por. A. C. Пушкин, *Евгений Онегин. Роман в стихах*, Booking International, Paris 1994, s. 62–63.

15. Henryk Sienkiewicz, *Wybór nowel...*, s. 3–4.

16. Aleksander Wojciech Mikołajczyk, *Łacina w kulturze polskiej*, s. 237.

się do określenia relacji między łaciną, a angielskim, niemieckim, czy polskim. Co prawda, to „źródlane” myślenie nie oznaczało, wbrew pozorom, jakoby najstarsze formy uważane były za najlepsze, tzw. „łacina archaiczna” ceniona była o wiele niżej, niż tzw. „łacina złota” z czasów późnej Republiki i wczesnego Cesarstwa.

Francuskiemu brakowało neutralności i „dostojeństwa” łaciny, które to cechy wynikały w dużej mierze z jej „martwoty”. Trzeba w tym miejscu zauważyć, że względna neutralność łaciny była nie tylko neutralnością w relacjach międzynarodowych, ale, w dużej mierze, także w relacjach „międzyklasowych”. Wynikało to oczywiście z faktu, że była ona językiem Kościoła, który, poczynając od średniowiecza, dostarczał możliwości kariery ludziom z niższych stanów. W epoce po-średniowiecznej (czy postmediewalnej) rolę tę spełniały w pewnej mierze tzw. „wolne zawody”, takie jak prawo, czy medycyna, a także, rzecz jasna, kariera uniwersytecka, gdzie również, mniej więcej do XIX wieku, panowała stara łacina, nie tylko jako źródło fachowej terminologii (w tym sensie ważniejsza od łaciny była, i nadal jest, greka), ale przede wszystkim jako środek ekspresji, czyli język wykładowy i język prac naukowych.

Tymczasem francuski kojarzony był dość jednoznacznie z „najlepszym”, czyli arystokratycznym, towarzystwem – i skojarzenie to nie jest wytworem ani dziewiętnastego, ani nawet osiemnastego wieku: było ono już dość dobrze utrwalone w wieku dwunastym. Jego międzynarodowy, czyli kosmopolityczny, charakter, (przejawiający się w powszechnym, od XVII wieku, użyciu francuskiego w dyplomacji), czynił z niego naturalnego sukcesora łaciny, ale jego związki z konkretnym i bardzo ambitnym państwem i narodem sprawiały, że ów kosmopolityzm (w przeciwieństwie do kosmopolityzmu, czy raczej uniwersalizmu, łacińskiego) miał mocno agenturalne i koniunkturalne zabarwienie. Oczywiście i łacina niosła z sobą, na przykład w okresie panowania polskiego sarmatyzmu, pewne skojarzenia klasowe (według Dantego tylko najlepsze rody florenckie wywodziły się od Rzymian) a w krajach protestanckich mogła także kojarzyć się z wrogim światem rzymskiego katolicyzmu. Jest jednak dość oczywiste, że klasowy, czy kulturowy ekskluzywizm łaciny nigdy nie był tak silny jak w przypadku francuskiego, tak samo jak Kościół i uniwersytet, czyli tradycyjne twierdze łaciny, nigdy nie były w tym samym stopniu zamknięte dla ludzi z nizin, co kręgi wyższej arystokracji kojarzone z francuszczyzną. Z drugiej strony, francuski, przynajmniej pod jednym względem, był mniej ekskluzywny od łaciny, mianowicie, w przeciwieństwie do łaciny, był to język dość szeroko znany wśród kobiet, a w pewnym sensie był nawet bardziej „własnością” kobiet, niż mężczyzn. Wiązało się to z powszechnie znanym faktem, że arystokratyczne i literackie salony, poczynając od XVII wieku, zdominowane były przez mające intelektualne ambicje niewiasty w rodzaju markizy de Rambouillet, czy pani de Scudery we Francji, lub Elizabeth Montagu w Anglii. Ponadto model wy-

chowania oparty na tzw. „paplaniu po francusku”, tańczeniu, i grze na pianinie stał się, zwłaszcza w XIX wieku, dość powszechny w Europie zwłaszcza wśród tzw. „panien z dobrych domów”, choć i „panicze”, w mniejszym stopniu, bywali w tym modelu wychowywani.

Pozytywistyczny pisarz polski Ludwik Powidaj w swoim artykule 1864 r. pt. *Polacy i Indianie* mówi, że przewaga obcych kultur nad kulturą polską nie była groźna, dopóki te obce kultury wypowiadały się w „martwej łacinie”<sup>17</sup>. Z drugiej strony narzeka on na obowiązujący w sferach szlacheckich model wychowania, który wykształca w młodych ludziach „lenistwo i pychę”: „Młodzi panicze starają się tylko o pozyskanie jakiej takiej ogłady towarzyskiej, której alfą i omegą jest mniejsza lub większa biegłość mówienia po francusku, taniec i muzyka, o zamiłowaniu [do] oszczędności i pracy mowy nawet nie ma”<sup>18</sup>. Ekskluzywność francuskiego, któremu jakoś ani Rewolucja Francuska, ani francuski republikanizm nie potrafiły zaradzić, budziła więc krytykę pisarzy nastawionych zarówno pragmatycznie (czyli pozytywistycznie), jak i patriotycznie. Francuski w ich umyśle najwidoczniej ciągle się łączył z pasożytniczym *ancien regime*, mimo że sama ideologia pozytywizmu miała jak najbardziej francuskie korzenie.

Oczywiście bywały, zwłaszcza w Polsce, sytuacje, w których „agenturalność” związków z Francją nie przeszkadzała. Książd Robak w Mickiewiczowskim *Panu Tadeuszu* jest agentem francuskim, ale nie rzuca to cienia na jego patriotyzm. Jego działalność budzi w pewnym sensie podziw nawet hurra-patriotycznego Maćka Kropiciela, który wypowiada słynne słowa: „Co mi tam Robak! otóż my będziemy robaki, / I dalej Moskwę toczyć”<sup>19</sup>. Ideologia napoleońska widząca Polskę zaprzęzoną do wojskowego i politycznego rydwanu Francji miała swoich zwolenników w czasach pozytywizmu, jak zaświadcza o tym postać subiekta Rzeckiego z powieści Bolesława Prusa *Lalka*. Sam Mickiewicz również, jak wiadomo, był tej ideologii wyznawcą: za otwarcie głoszony kult Napoleona stracił stanowisko wykładowcy w *Collège de France*<sup>20</sup>, Francję widział jako starszą siostrę Polski<sup>21</sup>, a w rozmowie z papieżem domagał się, by Ojciec Święty dostrzegł „ducha bożego” w bluzach ludu paryskiego<sup>22</sup>.

---

17. Ludwik Powidaj, *Polacy i Indianie*, w: *Publicystyka okresu pozytywizmu 1860–1900 – antologia*, red. Stanisław Fita, Instytut Badań Literackich PAN – Wydawnictwo, Warszawa 2002, s. 34.

18. Ludwik Powidaj, *Polacy i Indianie*, s. 33.

19. Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, red. Stanisław Pigoń, Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław–Warszawa–Kraków 1996, s. 328–329. (Księga VII, 96–97).

20. Por. Jacek Łukasiewicz, *Mickiewicz*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996, s. 158–159.

21. Jacek Łukasiewicz, *Mickiewicz*, s. 155.

22. Jacek Łukasiewicz, *Mickiewicz*, s. 168.

Wracając do noweli *Nikt nie jest prorokiem między swymi*, trzeba powiedzieć, że ma ona zasadniczo charakter „prometejski”, tj. przedstawia, podobnie jak wiele innych nowel i powieści tamtego okresu, samotną i skazaną na niepowodzenie walkę szlacheckiej jednostki z obskurantyzmem oraz inercją prowincjonalnego społeczeństwa. Bohater, Wilk Garbowiecki, przedstawiciel średnio zamożnej szlachty, nie porywa się pozornie na walkę z wiatrakami, chce zorganizować powszechnie dostępną czytelną w celu tzw. krzewienia oświaty między ludem, ale i to okazuje się posunięciem wręcz rewolucyjnym, które wywołuje wrogość miejscowych elit. Elity te reprezentują poziom dość niski, ale są bardzo snobistyczne, czego przykładem niech będzie poniższy fragment rozmowy między Wilkiem a lokalnym arystokratą panem Chłodno i jego rodziną:

W tej chwili wszedł pan Chłodno.

– *Imaginez!* – zawołała pani. – *M. Wilk Grabowiecki connaît notre cousin, le comte W...*, a co więcej, bywał u niego na wtorkach.

Pan Chłodno uśmiechnął się pobłażliwie.

– Pocziwy, pocziwy ten nasz kuzyn hr. W.! Czyś pan nie uważał, jaki on podobny do lorda...

Nie uważałem.

– Doskonały, doskonały! Powiadam mu kiedyś w resursie. Hrabio! Wyglądasz jak Palmerston! „You are block-head, mój drogi. Ty jesteś kiep”, powiada mi. Jak on to przednio wymawia: You are block-head!

Wilk uśmiechnął się.

– Pan rozumiesz po angielsku? – spytała skwapliwie pani Chłodno.

– Znam ten język.

– I mówisz pan nim?

– Tak.

– Ah! to taki niezbędny język teraz – wtrąciła panna Lucy.

– Dlaczego teraz? – spytał Wilk.

– Niezmiernie, niezmiernie modny. We wszystkich wyższych domach panienki uczą się po angielsku.

– Na jaki cel?

– Taka moda.

– Czyżby nie lepiej poznać niemiecki?

– Gdyby była moda...

– *Fi donc!* panie Wilk. Kto dobrze wychowany mówi po niemiecku? Sami Niemcy lepiej wychowani nie używają tego języka.

– A literatura niemiecka?

– *Les romans allemands sont insupportables!* (powieści niemieckie są nie do wytrzymania)

– Może. Ale nauka, ale poezja?

– Rzeczy poważne to nie dla nas kobiet, a poezja...

– Tyko w głowach przewraca – przerwał pan Chłodno. – [...]

W tej chwili weszła mamsel Gilbert. Była to młoda panna z twarzą poważną i sympatyczną. Wejście jej byłoby bez znaczenia, gdyby nie to, że od tej chwili rozmowa zawrzała po francusku, przy czym Wilk zyskał w oczach pań niezmiernie wiele.

- To zdumiewające! – mówiła po jego odejściu pani Chłodno. – Ten człowiek mówi wybornym akcentem!
- Ja mamie powiem, że nawet g r a s e j u j e. Jak mamę Kocham g r a s e j u j e grasejuje! Lucy ma rację. *Parole d'honneur* g r a s e j u j e ...ehr ...ehr ...Tak, tak!<sup>23</sup>

Widać, że państwo Chłodno nie są tak bogaci, lub tak otwarci na świat, jak państwo Unietyccy z noweli *Hania*, którzy utrzymywali równocześnie guwernantkę francuską i niemiecką. Uderzające tu jest oczywiście, że o ile francuski funkcjonuje nie tylko jako podstawa wykształcenia, ale również służy, tak jak dawniej łacina, do wypowiedzi makaronicznych, polegających na stałym mieszanu dwóch języków, o tyle angielski jest wyraźnie traktowany jako wyższy stopień językowego wtajemniczenia mający walor czystego atrybutu wyższego statusu społecznego (*status symbol*). Stąd też nie ma mowy o rzeczywistej i czynnej znajomości angielskiego.

Wspomniane „grasejowanie” to spolszczona forma francuskiego *grasseyer*, co oznacza wymowę zgłoski „r” zgodnie z tzw. wymową paryską, czyli jako „r” jęczyczkowe (*uvulaire*), lub tylnojęzykowe (*dorsal*). W zasadzie można zamiast tego francuskiego „r” stosować polskie „r” przedniojęzykowe, ale, jak podkreślają niektóre podręczniki, nie da się wówczas osiągnąć nienagannej wymowy szeregu wyrazów<sup>24</sup>. Wymowa taka u nie-Francuza może wynikać z wady wymowy, i zwykłej niemożności wymówienia „r” przedniojęzykowego, ale i tak kojarzy się ona z pewnym arystokratycznym stylem bycia.

Częsty u Sienkiewicza konflikt między średnią a bogatą szlachtą, czy magnaterią, wyrażałby się więc i w tym, że ta pierwsza znała, oprócz polskiego, francuski, a ta druga, oprócz polskiego i francuskiego, jeszcze i angielski. Jest to, co prawda, w przypadku angielskiego, znajomość raczej teoretyczna. Sienkiewiczowska panna Lucy, mimo angielskiego imienia, i pobierania lekcji u pana Wilka Grabowieckiego, nie wychodzi poza mechanicznie wkuwane i mało pragmatyczne koniugacyjne paradygmaty typu *I love, thou lovest, he loves*<sup>25</sup>. Podobnie funkcjonuje angielszczyzna w *Lalce* Prusa<sup>26</sup>, gdzie panna z wysokie-

23. Henryk Sienkiewicz, *Wybór nowel...* s. 17–19.

24. Por. Zdzisław Jankowski, *Francuska wymowa potoczna*, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, Warszawa 1966, s. 16–18.

25. Sienkiewicz, *Wybór nowel...* s. 30. Oczywiście forma drugiej osoby liczby pojedynczej *thou lovest* jest, i była już w czasach Sienkiewicza, archaiczna, i, poza dialektami, nie używano jej w języku mówionym, a i w pisanym używano jej bardzo rzadko poza poezją i językiem kultu religijnego. Zapewne jednak odziedziczony po łacinie paradygmat koniugacyjny nie pozwalał na zastąpienie jej w ówczesnych podręcznikach realnie występującą formą drugiej osoby liczby zarówno pojedynczej jak i mnogiej, czyli *you are*.

26. Ciekawe, że w książce *Parafiańszczyzna* Aleksandra Dunina Borkowskiego występuje dość podobna scena. Jedną z odmalowanych tam satyrycznie eleganckich kobiet jest zrozpaczona,



go rodu zakłada wręcz, że zwykły szlachcic, czy mieszczanin, nie może znać angielskiego – i stąd używa tego języka do konspiracyjnych i kompromitujących dla niej pogaduszek z panem Starskim, tak jakby francuski był symbolem ekskluzywizmu społecznego, a angielski oznaczał ekskluzywizm do kwadratu<sup>27</sup>, bezpośrednio związany z ciemnymi sprawkami, bez których snobizm społeczny istnieć nie może<sup>28</sup>. Mówiąc o anglofilskim snobizmie w twórczości Prusa, nie sposób nie wspomnieć o jego powieści *Emancypantki*, w której spotykamy dość nieprzyjemną postać panny Howard. Panna Howard, będąc nauczycielką na pensji żeńskiej, ustawicznie stawia za przykład postępowego wychowania „młode Angielki”, a jej nazwisko mogłoby świadczyć, że sama jest Angielką, co nie jest do końca jasne<sup>29</sup>. W każdym razie – panna Howard jest klasycznym przykładem fanatycznej, nienawidzącej mężczyzn i „politycznie poprawnej” feministki, przedstawionej przez Prusa w jak najgorszym świetle, co niewątpliwie stanowi jeden z głównych elementów generalnie konserwatywnego przesłania tej powieści. Jest też ta powieść przykładem na to, że już w XIX wieku kojarzona ze światem anglosaskim dynamika przemian kulturowych wywoływała bardzo mieszane odczucia. Nie posuwałbym się jednak do tezy, że negatywne skojarzenia, jakie język i kultura angielska budzą w *Lalce* czy w *Emancypantkach* stanowią dowód na to, że Prus był anglofobem – tak samo jak, delikatnie zresztą

---

gdy okazuje się, że jej rywalka, kobieta nieco niższego stanu, również zna francuski i zrozumiała wypowiedzi, których rozumieć nie miała. Widząc słabą ekskluzywność francuskiego, pani ta zabiera się ostro za angielski, choć nie wiadomo, czy osiąga w tej dziedzinie jakieś sukcesy. Por. Aleksander (Leszek) Dunin Borkowski, *Parafiańszczyzna*, opr. Kazimierz Pecold, Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1972, s. 114–115.

27. Dzisiaj sytuacja uległa, w dużej mierze, odwróceniu, to znajomość angielskiego stała się czymś normalnym wśród wykształconej elity, a francuski stał się symbolem kulturowego snobizmu wyższego stopnia, choć w przyszłości w tej roli, zamiast francuskiego, może wystąpić hiszpański.

28. *Nota bene*, nie wiadomo, czy przypadkiem pan Wokulski nie zerwał z Izabelą Łęcką przedwcześnie. Jedyne angielskie zdanie, jakie wypowiada: *Farewell, miss Iza, farewell* zawiera w sobie błąd, imię Isabel, czyli Izabela, po angielsku nie tworzy zdrobnienia „Iza”, możliwe formy to: Isla, Bel, Bell, Bella, Belle, Ib, Ibbot, Ibb, Nib, Tib, Tibby. Świadczyłoby to o jego niedoskonałej znajomości angielskiego, co być może dotyczy także tak zwanego rozumienia ze słuchu, a trzeba pamiętać, że Wokulski podsłuchuje rozmowy Izabeli ze Starskim w bardzo niedoskonałych warunkach – pociąg, którym wszyscy podróżują z Warszawy do Krakowa kołysze i podskakuje na nierównościach. Poza tym uderzać musi w tej scenie dość mało prawdopodobna sprawność językowa panny Izabeli i Starskiego, którzy zdają się czuć w angielskim prawie tak swobodnie, jak w polskim. Por. Bolesław Prus, *Wybór pism* (wydanie w dziesięciu tomach ze wstępem Marii Dąbrowskiej), tom 6 (*Lalka*), Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974, s. 339–346.

29. W pierwszym rozdziale tej powieści, podczas konwersacji między panią Latter a panną Howard okazuje się, że panna Howard nie tyle zna Anglię, ile „wiele o niej czytała”. Por. Bolesław Prus, *Wybór pism*, tom 7 (*Emancypantki*), s. 19.

zarysowany<sup>30</sup> i dość komiczny anglofilski snobizm, przejawiający się w postaci Hrabiego z mickiewiczowskiego *Pana Tadeusza* nie świadczy z pewnością o antyangielskiej postawie autora.

Wracając do Sienkiewicza, trzeba podkreślić, że u niego francuska makaroniczność, tj. mieszanie języka polskiego z francuskim, symbolizuje powierzchowność, próżność, a także skłonność do tłamszenia jednostek wybitnych a nieuprzywilejowanych, co też zresztą nie koniecznie świadczy o jego frankofobii. Inaczej trochę funkcjonuje angielski, trzeba pamiętać, że jego jedynym w tej noweli prawdziwym znawcą i propagatorem jest właśnie ów stłamszony przez arystokrację bohater, podejmujący się roli nauczyciela angielskiego w domu państwa Chłodno. Zżyma się on na nadużywanie francuszczyzny przez Lucy, w której się zakochuje, jednak Lucy odrzuca go w sposób wysoce lekceważący i pogardliwy wobec jego niższego stanu, mimo że wcześniej zdawała się go rozumieć i popierać jego działalność społeczną.

Złowróźnie brzmi też język francuski w ostatnich słowach zamykających nowelę *Janko Muzykant*, gdzie podkreśla kompletne oderwanie polskich elit od krajowej rzeczywistości:

Nazajutrz powrócili państwo do dworu z Włoch, wraz z panną i kawalerem, co się o nią starał. Kawaler mówił:

- *Quel beau pays que l'Italie.* (Jakim pięknym krajem są Włochy)
- I co to za lud artystów. *On est heureux de chercher là-bas des talents et de les protéger...* (Szczęściem jest wyszukiwać tam talenty i je popierać) – dodała panna.

Nad Jankiem szumiały brzozy<sup>31</sup>.

Francuszczyzna byłaby tu więc swoistym „znakiem bestii”, znakiem nieprzekraczalnych barier klasowych i kastowych, podczas gdy angielszczyzna, której panna Lucy nijak nie potrafi sobie przyswoić, miałaby, przynajmniej u Sienkiewicza, walor swoistej odtrutki na miałość, głupotę i nieuzasadnioną wyniosłość polskiej klasy uprzywilejowanej, i wiązałyby się ze wspomnianą przez Ludwika Powidaję tak „mało-polską” wartością jak „zamiłowanie [do] oszczędności i pracy”.

---

30. Właściwie Hrabia jest nie tyle anglofilem ile dość fanatycznym miłośnikiem tzw. literatury gotyckiej, która narodziła się w Anglii i stamtąd też była przeważnie importowana do innych krajów europejskich. Z drugiej strony, nie wiadomo co Hrabia z tej literatury gotyckiej rzeczywiście czytał; wiadomo tylko, że kocha specyficzną atmosferę z nią związaną. Por. Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, s. 104–106 (Księga II, *Zamek*, wersy 365–396).

31. Henryk Sienkiewicz, *Wybór nowel...*, s. 174. Charakterystyczne jest, że ci młodzi arystokraci swoje italofilstwo wyrażają po francusku; zapewne nie przyszłoby im nawet do głowy nauczyć się języka włoskiego, mimo że jeszcze w wieku XVII był on w Polsce na ogół lepiej znany, niż francuski.

Te pragmatyczne i demokratyczne skojarzenia, jakie niósł ze sobą język angielski, zauważalne są w postawie życiowej Josepha Conrada, czyli Józefa Konrada Korzeniowskiego, u którego daje się dostrzec zasadę, że bohaterowie zdradzający skłonności demoniczne, tacy jak Kurtz z *Jądra ciemności*, Verloc z *Tajnego agenta*, Razumov z *W oczach zachodu*, czy Schomberg ze *Zwycięstwa*, mają przeważnie nie angielskie nazwiska. Mówimy jednak o pisarzach takich jak Conrad i Sienkiewicz, którzy byli zdecydowanymi anglofilami, choć w mniejszym stopniu także i frankofilami.

W jednej z późnych powieści tego ostatniego, czyli w *Pustyni i w puszczy*, znajdujemy następujący dialog między Stasiem Tarkowskim a panem Rawlisonem, ojcem małej Nel:

- Jeśli jednak wojska egipskie zostaną zupełnie zniesione?
- Wówczas wystąpią wojska angielskie, których nie zwyciężył nigdy nikt.
- A dlaczego Anglia pozwoliła Mahdiemu zająć tyle krajów?
- Skąd wiesz, że pozwoliła – odpowiedział pan Rawlinson. – Anglia nie śpieszy się nigdy, albowiem... jest wieczna<sup>32</sup>.

W innej rozmowie, między Stasiem a kapitanem Glenem, już w ostatnim rozdziale książki, sprawa postawiona jest jeszcze jaśniej:

- Ale Abdullah jeszcze od Mahdiego okrutniejszy.
- Toteż zaczęły się już bunty i rzeznie – odpowiedział kapitan – i cała ta budowa, którą wznosił Mahdi, musi prędkiej lub później runąć.
- A co potem nastąpi?
- Anglia – rzekł kapitan<sup>33</sup>.

Słychać w tych typowo imperialistycznych – i niewiele mających wspólnego z historyczną rzeczywistością – deklaracjach wyraźne echa „wzorcowego” imperializmu starorzymskiego, przejawiającego się w takich formułach jak *Roma urbs aeterna* (Rzym wieczne miasto), czy *Imperium sine fine dedi* (Dałem [im] władzę, która nie będzie miała końca), jak w *Eneidzie* Wergiliusza mówi bóg Jowisz czyniąc aluzję do panowania Rzymian nad światem śródziemnomorskim<sup>34</sup>.

32. Henryk Sienkiewicz, *W pustyni i w puszczy*, Res Polona, Łódź 1990, s. 16.

33. Sienkiewicz, *W pustyni i w puszczy*, s. 345.

34. Por. Wergiliusz, *Eneida*, przeł. Zygmunt Kubiak, Oficyna Literacka, Kraków 1994, s. 41: Władzę nad narodem przejmie  
Romulus [...] Marsowe  
Wydzwignie mury, a od swego miana

Tutaj wyraźnie można zaobserwować proces, że tak powiem, wchodzenia Anglików w buty starożytnych Rzymian, a w konsekwencji pasowania angielskiego na prawowitego dziedzica starej łaciny.

Oczywiście mamy tu do czynienia ze starym pomysłem tzw. *translatio imperii*, czyli „przeniesienia imperium”, przy pomocy którego jeszcze w średniowieczu tłumaczono, że nowymi Rzymianami stał się naród Franków w czasach cesarstwa Karolingów, a później Niemcy – jako dominująca narodowość tak zwanego Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego<sup>35</sup>. Tak samo po upadku Konstantynopola w 1453 r. tłumaczono na Rusi Moskiewskiej, że Konstantynopol był drugim Rzymem, trzecim jest Moskwa, „a czwartego już nie będzie”<sup>36</sup>. W podobny sposób we Francji, już w wieku XII, twierdzono, że centrum cywilizacji powstało najpierw w Atenach, potem przeniosło się do Rzymu, by wreszcie znaleźć się, już na stałe, w Paryżu.

Imperialistyczne wypowiedzi w powieści Sienkiewicza stanowią rzecz jasna odbicie tego typu nastrojów w samej Anglii. Angielską pychę imperialną z czasów wiktoriańskich bezlitośnie wykiął Jules Verne, w swej powieści *Dzieci kapitana Granta*<sup>37</sup>, choć oczywiście nie możemy wykluczyć, że i w powieści Sienkiewicza w wyżej cytowanych fragmentach przejawia się pewna łagodna ironia względem angielskich światowładczych pretensji i ksenofobicznych postaw, które, warto zauważyć, były wykpiwane i w samej Anglii – na przykład przez Dickensa<sup>38</sup>. Verne, jako Francuz, był przedstawicielem konkurencyjnego imperium, które wówczas pozostawało daleko w tyle za brytyjskim pod względem siły materialnej, ale miało o wiele rozleglejsze wpływy kulturalne. Niemniej jednak nawet Verne, jako człowiek głęboko zafascynowany nowoczesnością, czyni bohaterów swoich powieści przeważnie Anglosasami, choć ze zrozumiałych względów raczej będą to Szkoci i Amerykanie, niż Anglicy. Widoczne jest i u niego przekonanie, dość rozpowszechnione w drugiej połowie XIX wieku, że przyszłość należy do narodów mówiących po angielsku.

---

Lud Rzymianami nazwie. Im w przestrzeni  
I w czasie żadnej granicy nie kładę:  
Bezkresne dałem panowanie (I, 375–381)

35. Koncepcję tę, wraz z koncepcją *translatio studii* (przeniesienia ośrodka nauk) omawia E. R. Curtius w swojej słynnej książce *Literatura europejska i łacińskie średniowiecze, European Literature and the Latin Middle Ages*, przeł. W. R. Trask, Princeton University Press, Princeton 1990, s. 28–29.

36. Por. Paweł Jasienica, *Polska Jagiellonów*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1983, s. 152–153.

37. Por. Juliusz Verne, *Dzieci kapitana Granta*, przeł. Izabela Rogozińska, Nasza Księgarnia, Warszawa 1989, s. 294–297.

38. Klasycznym przykładem takiej satyry jest postać pana Podsnapa z powieści Dickensa *Our Mutual Friend (Nasz wspólny przyjaciel)* wydawanej w odcinkach od 1864 do 1865.

## VI

Wiele uwag na temat problemu języka zawiera inna nowela Sienkiewicza – *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela*. W zasadzie przedmiotem noweli jest proces germanizacji w okupowanej przez Prusy części Wielkopolski. Istnieje jednak przypuszczenie, że Sienkiewicz umieścił akcję tej noweli w rejonie Poznania, aby uniknąć interwencji cenzury w zaborze rosyjskim, gdyż jego pierwotnym zamiarem było odmalowanie procesu rusyfikacji w jego rodzinnym Królestwie Kongresowym. Tak czy owak, nowela ta rzuca pewne światło na znaczenie i funkcjonowanie języka niemieckiego, ale też i łaciny, na ziemiach polskich pod koniec XIX wieku.

Oczywiście niemiecki jako język mniej lub bardziej brutalnie narzucany ludności polskiej przez zaborców, podobnie jak rosyjski, miał nieco inny „sposób istnienia” w tej części Europy, niż francuski, czy angielski. W przeciwieństwie jednak do rosyjskiego, mógł on liczyć na spontaniczną, a nie tylko wymuszoną, popularność wśród dość licznej grupy germanofilsko (czy austrofilsko, w przypadku Galicji) nastawionych Polaków, przeważnie żyjących pod panowaniem pruskim lub austriackim. Na pewno nie należał do nich Sienkiewicz, którego powieść *Krzyżacy* znacznie przyczyniła się do rozbudzenia nastrojów antyniemieckich, zwłaszcza wśród ludności polskiej zamieszkałej w Prusach, czyli w tak zwanej Rzeszy wilhelmińskiej. Jak widać już w przytoczonym wyżej fragmencie dialogu z noweli *Nikt nie jest prorokiem między swymi*, do społeczeństwa polskiego powoli docierała świadomość, że niemiecki, zwłaszcza po katastrofalnej dla Francji wojnie prusko-francuskiej w latach 1870–1871, stał się na Zachodzie językiem traktowanym, przynajmniej teoretycznie, na równi z francuskim i angielskim, o czym świadczą, na przykład, powieści angielskiej powieściopisarki Charlotte Brontë, a także wspomniana już powieść *Dzieci kapitana Granta* Verne’a, gdzie rozbitkowie wsadzają do butelki list zredagowany właśnie w tych trzech językach, mając nadzieję, że nie znajdzie się na świecie człowiek wykształcony, który by nie znał choć jednego z nich.

Wspomniany fragment świadczy też jednak wyraźnie, że ten wzrost międzynarodowej pozycji języka niemieckiego spotykał się wśród społeczeństwa polskiego z wyraźną niechęcią, której źródłem, moim zdaniem, należy upatrywać nie tylko w zrozumiałej i dość powszechnej wśród Polaków germanofobii, ale także w uprzedzeniach klasowych – niemiecki kojarzył się zanadto z kulturą mieszczańską, lekceważoną przez dużą część polskiej inteligencji pochodzenia głównie szlacheckiego, a z kolei arystokracja niemiecka była, zwłaszcza w XVIII wieku, bardzo sfrancuziała, czego ślad napotykamy w okrzyku pani Chłodno: „Sami Niemcy lepiej wychowani nie używają tego języka”.

Rzecz jasna, myślenie w kategoriach trzech języków uprzywilejowanych ma w Europie bardzo stare korzenie, chociaż, co najmniej do XVII wieku, tymi trzema językami były łacina, greka i hebrajski, a człowiek nimi władający określany był zaszczytnym tytułem *homo trilinguis*, człowiek trójjęzyczny. Języki te wyróżnione zostały przez umieszczenie słynnego napisu „Jezus Chrystus, król żydowski”, zredagowanego w tych właśnie trzech językach, u szczytu krzyża w słynnym ewangelicznym opisie Ukrzyżowania. Przez wiele wieków utrzymywano, że tylko te trzy języki, jako języki święte (przez analogię do Trójcy Świętej) nadają się do użycia dla celów kultu religijnego – i tylko one mogą służyć do zapisywania i czytania Pisma Świętego. W XIX wieku, mielibyśmy więc do czynienia z próbą zastąpienia tej trójcy martwych języków trójcą języków żywych, kojarzonych z nowożytnym wariantem świętości, czyli z dynamicznym rozwojem, postępowaniem cywilizacyjnym i – przede wszystkim – potęgą materialną. Byłaby to część ruchu modernizacyjnego, z którego pod koniec XIX wieku narodził się w Europie prąd myślenia zwany Modernizmem, bardzo już oderwany od chrześcijańskich tradycji starej Europy. W świecie do którego należy omawiana nowela Sienkiewicza trzymał się jeszcze mocno stary model wykształcenia, choć oparty już nie na trzech, a jedynie na dwóch martwych językach: łacinie i grece, uczonych zresztą bez jakiegokolwiek odwoływania się do tradycji chrześcijańskiej.

Wracając do opowiadania *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela*, zauważmy, że – jak często u Sienkiewicza – mamy tu do czynienia z opisem cierpienia małego dziecka, któremu kres (podobnie jak w *Janku Muzykancie*, czy *Jamiole*), przynosi dopiero śmierć. Tutaj jednak dziecko, mały Michaś, zostaje zameczony nie przez arystokratyczny ekskluzywizm czy wiejski prymitywizm, a przez bezduszny pruski system szkolny, szczególnie okrutny dla uczniów, których językiem ojczystym nie był niemiecki. Michaś jest też ofiarą tzw. klasycznego modelu wykształcenia nastawionego głównie na naukę języków, przede wszystkim klasycznych, czyli greki i łaciny, przy czym języki te traktowane są raczej jako wyrafinowane narzędzia tortur, niż zwykłe przedmioty szkolne: „Każdą chwilę, potrzebną dla wesołości, zdrowia i życia chłopca, zabierała łacina, grecki i... niemiecki”<sup>39</sup>. Te trzy kropki przed słowem „niemiecki” prawdopodobnie pochodzą stąd, że niemiecki nie tyle był przedmiotem nauczania, ile medium, w którym nauczanie się odbywało. Problemy Michasia z łaciną i greką wynikają z trudności w opanowaniu pewnego logicznego systemu, podczas gdy problem z niemieckim polega po prostu na tym, że Michaś ma polski akcent, którego nie potrafi się pozbyć, co radykalnie zmniejsza jego szanse osiągnięcia sukcesu w którymkolwiek z przedmiotów, gdyż wszystkie wykładane były po niemiecku: „Wybuchał płaczem, gdy dostał zły stopień, ale nikomu nie przychodziło

---

39. Henryk Sienkiewicz, *Wybór nowel...*, s. 176.

do głowy, dlaczego płakał, do jakiej strasznej poczuwał się w takich chwilach odpowiedzialności. Ba! co komu było do tego? Miał polski akcent i kwita!”<sup>40</sup>

Abstrahując od konkretnej sytuacji historycznej, jaką przedstawia w tej noweli Sienkiewicz, możemy powiedzieć, że dotyczy on tu ważnej różnicy między nauką języka martwego i żywego. Nikomu raczej nie przyjdzie do głowy znęcać się nad uczniem z powodu „złego akcentu” łacińskiego, gdyż nikt tak na prawdę nie wie jaką wymową posługiwali się starożytni Rzymianie. Istnieją na ten temat tylko mniej lub bardziej prawdopodobne hipotezy, a w tej dziedzinie uczniowie mają – i chyba zawsze mieli – dość szeroki, choć oczywiście ograniczony, margines swobody. Tymczasem nauką języka nowożytnego wymaga przełamania poważnej bariery psychologicznej, jaką stanowi lawina obco brzmiących dźwięków i premiuje osoby obdarzone „papuzim” lub „małpim” talentem wiernego naśladowania zachowań, których sensu się nie rozumie, lub rozumie nie do końca. Uczniowie wyposażeni w te „papuzio-małpie” predyspozycje górują wyraźnie nad tymi, którzy starają się najpierw zrozumieć system (lub przynajmniej jego fragment), a dopiero potem decydują się na ryzyko dźwiękowej realizacji tego systemu. Nie można niestety w sposób sensowny zakładać, że ta pierwsza kategoria reprezentuje wyższy poziom intelektualny niż ta druga, mimo że ta pierwsza osiąga (na ogół) bardziej spektakularne sukcesy w nauce języków obcych. W praktyce, rzecz jasna, najpoważniejsze sukcesy w tej dziedzinie osiągają uczniowie umiejący godzić ze sobą te dwa podejścia, albo, innymi słowy, dysponujący zarówno dociekliwą inteligencją, jak i zdolnościami naśladowczymi.

Zawsze jednak pozostaje w umysłach ludzkich podejrzenie, iż ktoś, kto wyróżnia się w nauce nowożytnych języków obcych, lub choćby jednego takiego języka, zawdzięcza to głównie przypadkowi, który sprawił, że posiada on tak zwany „słuch językowy”. Tak, mniej więcej, stawia sprawę Sienkiewicz, który mówi, głosem „poznańskiego nauczyciela”: „Istotnie, cóż mógł zrobić? cóż mógł poradzić na to, że nie przyszedł na świat z wrodzoną łatwością do języków i że nie umiał się po niemiecku wyjęzyczyć”<sup>41</sup>.

Ludzie o podejrzliwych i ksenofobicznych umysłach mogą faktycznie pójść jeszcze dalej i sugerować, że łatwość uczenia się języków obcych wynika z postawy lokajskiej i służalczej, co już widać, jeśli się weźmie pod uwagę pole skojarzeniowe wyrazów „małpa” i „papuga”. Polacy są na takie skojarzenia szczególnie uczuleni, bo to pod ich adresem Juliusz Słowacki rzucił swego czasu straszne przekleństwo: „pawiem narodów byłaś i papugą”. Współczesny Słowackiemu, choć związany nie z Paryżem a ze Lwowem, Aleksander Dunin Borkowski, zwany – głównie z powodu swojego antyklerykalizmu i demokratyzmu – „czer-

---

40. Henryk Sienkiewicz, *Wybór nowel...*, s. 176

41. Henryk Sienkiewicz, *Wybór nowel...*, s. 184.

wonym hrabią” (choć był on może w większym stopniu jednym z prekursorów nowoczesnego nacjonalizmu), w swoim gatunkowo bardzo niespójnym dziele pt. *Parafiańszczyzna* (1843–49) potępia rozpowszechniony wśród elity zwyczaj posługiwania się francuszczyzną nawet w czysto polskim środowisku, uważając to, być może słusznie, za dowód służalczości i „nieszczerości”.

Borkowski idzie wszakże dalej – i choć zastrzega się, że nie jest wrogiem nauki języków obcych (w co łatwo można uwierzyć widząc jak inkrustuje on swoją polszczyznę zdaniem i wyrażeniami francuskimi, niemieckimi, a z rzadka włoskimi i angielskimi), to jednak wyraża się dość pogardliwie o osobach odnoszących sukces w takiej nauce:

Niezaprzeczoną jest prawdą, że myśleć w jednym tylko można języku, dlatego najłatwiej uczą się mowy obcej ci, którzy wiele pamiętają, a mało lub nic nie myślą. Najoświecześnie narody europejskie: Francuzi, Anglicy i Niemcy nie mają daru do nabycia mów obcych. Toż samo stosuje się do osób pojedynczych. Najśladniej uczą się języków dzieci, myśleć nie umiejące. Obdarzeni duszą czynną i obfitą, twórczą wyobraźnią i żywością w pomysłach nie nabędą nigdy łatwości w używaniu mowy nie swojej, chociażby mieli pamięć jak najszczęśliwszą i obławiali ją jak mrowisko słowami: bo dla rojących się ciągle nowych myśli nie wystarczają stare wysłuchone zwroty i wyrażenia, potrzeba im stwarzać nowe formy i składy<sup>42</sup>.

Z tego punktu widzenia, to *nieznajomość* raczej niż *znajomość* języka obcego jest tytułem do chwały, a biegłość w tymże języku – dość paradoksalnie, trzeba przyznać – stawia pod znakiem zapytania poziom naszej inteligencji. Podobnie, „paplający po francusku” arystokraci już z racji tego faktu dają dowód swojej „parafiańszczyzny” – a kosmopolityzm nie jest niczym innym jak tylko wyjątkowo jadowitą odmianą zaściankowości i prowincjonalizmu. Dla Borkowskiego język nie jest, tak jak dla De Saussure’a, systemem arbitralnych znaków. O tyle przynajmniej, o ile jest on idiomatyczny, wyraża ducha narodu, a używanie idiomów (czy, jak mówi Borkowski, „idiotyzmów”) obcych oznacza zdradę tegoż ducha:

Pięknie nazwali starożytni Grecy posiadającego dwa języki – posiadającym dwie dusze. Ale dwóch szczerości mieć nie można, jak i dwóch wiar, bo jedna drugą wyłącza<sup>43</sup>.

Widać tu wyraźnie przeniesienie na niwę języka werdyktu zawartego w szóstym rozdziale Ewangelii według św. Mateusza, gdzie mowa jest o tym, że nie można służyć dwóm panom. Podobny styl myślenia widać i u Karola Miarki, który w swojej broszurce pt. *Głos wołającego na puszczy Górnośląskiej, czyli o stosunkach*

---

42. Aleksander Dunin Borkowski, *Parafiańszczyzna*, s. 191.

43. Aleksander Dunin Borkowski, *Parafiańszczyzna*, s. 186.



*ludu polskiego na Ślązku* (1863) protestuje przeciw germanizacyjnej polityce rządu pruskiego na Górnym Śląsku, wskazując na fatalne skutki dwujęzyczności zarówno dla oświaty górnośląskiej, jak i nawet dla przeciętnego poziomu moralności, choć oczywiście należy brać też pod uwagę dość skrajne warunki intensywnej germanizacji na dziewiętnastowiecznym Śląsku, które musiały wpłynąć na pewną skrajność myślenia Miarki:

Serce daje popęd do wszystkich cnót, serce osładza nam wszystkie życia przykrości, serce jedynie prowadzi nas do nieba. Lecz któryż język rozumie serce, któryż język przemawia do serca tkliwiej, jeżeli nie język macierzyński!<sup>44</sup>

I tu widzimy wyraźny wpływ Nowego Testamentu, a w szczególności Pawłowego hymnu do miłości, czyli serca, z Pierwszego Listu do Koryntian, gdzie wyraźnie zresztą mówi apostoł o tym, że daremna i próżna jest znajomość „języków ludzi i aniołów”.

Jednak i odwrotna postawa zasługuje na baczną uwagę, a mianowicie postawa tych, którzy, podobnie zresztą jak Borkowski, mają siebie za apostołów postępu i uważają (choć nie zawsze mają odwagę otwarcie głosić takie opinie), że czyjaś niezdolność do nauczenia się porządnie przynajmniej jednego języka obcego (oczywiście z ograniczonej bardzo puli tak zwanych „języków światowych”) świadczy dobitnie o tym, że miejsce takiej osoby jest poza kręgiem ludzi kulturalnych i eleganckich. W pewnym stopniu tak też na to patrzą niemieccy nauczyciele Michasia, chociaż ich kult postępu łączy się nierozdzielnie z niemieckim nacjonalizmem. Na temat swojego ucznia wypowiadają oni wiele mówiące zdanie: „[...] że był to chłopiec przesiąknięty »wstecznymi zasadami i instynktami«, tępy i leniwy”<sup>45</sup>. Nie byli owi nauczyciele pod tym względem wyjątkami, również i nauczyciele angielscy wybijający brutalnie (w XIX, a często jeszcze i w XX wieku) swoim uczniom z głów przywiązanie do takich języków jak irlandzki, czy walijski, wierzyli często, że robią to w imię postępu i oświeceniowych ideałów. Wniosek z tego, że zarówno znajomość jak i nieznajomość języka obcego może funkcjonować w społeczeństwie jako piętno i biblijny „znak bestii”, i że tak zwana „otwartość na Innego” zawarta jakoby w geście akceptacji języka obcego bynajmniej nie musi oznaczać wolności od ksenofobii. Może to być po prostu gest wyboru nowego, „mocniejszego” nacjonalizmu, który często lubi paradować w masce kosmopolityzmu i światowego poluru.

44. Karol Miarka, *Głos wołającego na puszczy Górnośląskiej, czyli o stosunkach ludu polskiego na Ślązku*, Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1984, s. 37.

45. Henryk Sienkiewicz, *Wybór nowel...*, s. 186.

W każdym razie, pole nauki nowożytnych języków obcych jawi się tutaj jako prawdziwe pole minowe. W tym kontekście nauka łaciny, jak to widać w Sienkiewiczowskim opowiadaniu, nabiera pewnych aspektów, że tak powiem, humanitarnych. Biedny Michaś jedną z niewielu jaśniejszych chwil swego krótkiego i ponurego życia zawdzięcza faktowi, że, jako jedyny w klasie, znał formę *perfectum* od łacińskiego czasownika *gaudeo*, co oznacza po polsku „cieszę się”. Równie dobrze mógłby się Michaś chwalić, że znał wzór na obliczenie powierzchni trójkąta. Oczywiście taka „zimna”, obiektywna wiedza potrzebna jest też przy uczeniu się języków nowożytnych, tam jednak często na plan pierwszy wybija się skomplikowana, „gorąca” i „naboląta” relacja między swoim a obcym.

Zapałszy na „zapalenie mózgu”, Michaś, w przedśmiertnej agonii, doznaje czegoś, co można by nazwać „kołobłędem językowym”<sup>46</sup>, tworzą go strzępy różnych języków i obsesyjnie powtarzane fragmenty łacińskich koniugacji. W ten sposób Michaś odchodzi z tego świata jako prawdziwy męczennik glottodydaktyki, czyli nauki języków obcych. Wysoce abstrakcyjna i pozbawiona jakiegokolwiek praktycznego sensu wiedza językowa staje się nie tylko gwoździem do jego trumny, ale wręcz całą trumną. Znane powiedzenie wspomnianego już tutaj Bolesława Prusa: „Ludzie mając do wyboru greczyznę albo piekło – wybierają to drugie”<sup>47</sup>, zostaje zrealizowane w opowiadaniu Sienkiewicza w ten sposób, że greka, a jeszcze bardziej łacina i niemiecki, stają się samym piekłem, a nie jedynie jego synonimem. Z pewnością teksty tego rodzaju co *Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela* przyczyniły się w jakimś stopniu do upadku klasycznego modelu wykształcenia, co nastąpiło ostatecznie parędziesiąt lat po śmierci Sienkiewicza.

## VII

Ostatnim opowiadaniem Sienkiewicza, któremu chciałbym poświęcić nieco uwagi jest *Wspomnienie z Maripozy*. Jest to właściwie wariacja na temat *Latarnika*, nieco bardziej niż pierwowzór zaprzątnięta sprawami języka. Tak jak Skawiński, bohater *Latarnika*, tak też i Putrament, bohater *Wspomnienia z Maripozy*, jest polskim emigrantem, który dożywszy późnego wieku na obczyźnie nie potrafi zapomnieć „starego kraju” i żyje wspomnieniami o nim. Można by powiedzieć, że tym, czym dla Skawińskiego *Pan Tadeusz* Mickiewicza, tym dla Putramenta jest *Biblia* w tłumaczeniu księdza Wujka, ale oczywiście *Biblia*, zanurzona w realiach bliskowschodnich, sama w sobie nie może spełniać – tak jak *Pan*

---

46. Słowa „kołobłęd” używa dość często w swoich pismach, choć w innym kontekście, Feliks Koneczny.

47. Krzysztof Bielawski, *Wstęp do wydania polskiego*, w: Nino Marinone, *Słownik form fleksyjnych czasowników greckich*, Wydawnictwo Homini, Bydgoszcz 2001.

*Tadeusz* – roli pośrednika między emigrantem a jego środkowo-, czy wschodnioeuropejską ojczyzną. Wobec tego, Putrament nie tyle absorbuje treść *Biblii*, ile jej formę. W efekcie zawsze gdy mówi po polsku (po czemu zresztą rzadko ma okazję) używa słów i wyrażeń zaczerpniętych żywcem z owego tłumaczenia; innymi słowy – „mówi Wujkiem”. Oto fragment jego rozmowy z narratorem:

– Powiedz mi, szanowny panie, skąd ci się wziął ten język? Język to nie dzisiejszy, ale stary, którym już nie mówią w Polsce.

Uśmiechnął się.

– Jedną książkę mam w domu. *Biblię* Wujka, którą czytuję co dzień, abym nie zapomniał mowy mojej i nie stał się niemy w języku ojców moich...<sup>48</sup>.

Zauważmy, że Putrament, w gruncie rzeczy, podchodzi do języka polskiego tak, jakby nie był to język ojczysty, ale raczej prestiżowy język obcy, w rodzaju łaciny, którego uczy się w sposób systematyczny i sumienny, identyfikując się ze znajdującym w swoim „podręczniku” stylem. Przypomina to postawę cyceronianistów doby Odrodzenia, którzy nie raz przysięgali, że nie użyją pisząc czy mówiąc po łacinie żadnej formy gramatycznej, czy słowa, które by nie występowało w pismach Cyserona, uważanego przez wielu za niedościgniony wzór łacińskiego stylu<sup>49</sup>.

„Mariposa” znaczy po hiszpańsku „motyl”, a akcja opowiadania dzieje się w Kalifornii, która po dziś dzień zachowała wiele hiszpańskich nazw miejscowych świadczących o dawnej przynależności tego amerykańskiego stanu najpierw do imperium hiszpańskiego, a potem do Meksyku. Polszczyzna głównego bohatera tego opowiadania to również jakby motyl: ładny, ale nieżywy, przebity szpilką w albumie entomologa. Stawia nam tutaj przed oczami autor ostateczne konsekwencje tego puryzmu językowego, który w niemałym stopniu przyczynił się do przemiany łaciny w „język martwy” i wskazuje, że podobne zjawiska mogą występować także do pewnego stopnia i w pewnych okolicznościach w językach nowożytnych. W dzisiejszej polszczyźnie obserwujemy zresztą podobne zjawiska. Są nieszkodliwi maniacy, którzy uwielbiają „mówić Gombrowiczem”, czy „mówić Stachurą”, (Agnieszka Osiecka w książce *Szpetni czterdziestoletni* zaświadcza, że na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku istniała Polsce moda na „mówienie Dostojewskim”), lecz o wiele groźniejszym zjawiskiem jest często automatyczne i bezwiedne posługiwanie się szablonami językowymi zaczerpniętymi z reklam, albo bezkrytyczne naśladowanie różnych mód i manieryzmów językowych utrwalanych przez środki masowego przekazu.

48. Henryk Sienkiewicz, *Wybór nowel...*, s. 408.

49. Na ten temat więcej w dziele Andrzeja Borowskiego, *Renesans*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2002, s. 116–118.

Zagrożenia zarysowane przez George’a Orwella w jego koncepcji nowomowy (*Newspeak*) z pewnością nie ulegają dezaktualizacji w warunkach liberalnego ustroju politycznego. Coraz więcej wśród nas ludzi, którzy – w związku z generalnym upadkiem czytelnictwa, niczym Sienkiewiczowski pan Putrament – mają, mówiąc przerośnie, „jedną książkę w domu” i niekoniecznie chodzi tu o książkę z papieru.

Wyczulenie Sienkiewicza na problemy związane z użyciem języka polskiego w samej Polsce widoczne jest w znanej noweli *Szkice węglem*, którą tu wspominać jedynie mimochodem. Jej bohater, pisarz gminny o wiele mówiącym nazwisku Zołzikiewicz, opiera swoją pozycję społeczną na głębokiej polskiej prowincji w znacznej mierze na swojej znajomości tzw. literackiego języka polskiego. Ta wiedza wzbudza głęboki podziw wśród miejscowej ludności, gdzie nawet warstwa urzędnicza składa się z półanalfabetów, dla których prestiżowy wariant języka polskiego, opanowany zresztą niedoskonale przez Zołzikiewicza, stanowi nieomal język święty i funkcjonuje podobnie jak stara łacina. Ten stan nieomal „diglosji”<sup>50</sup>, czyli rozwarstwienia istniejącego wewnątrz języka narodowego na język „wysoki” i „niski”, utrzymuje się, choć na pewno w mniejszym stopniu, także i w naszych czasach, co sprawia, że języków obcych często uczą się dzisiaj ludzie mający dość podstawowe problemy z własnym językiem i należy się obawiać, że ów język obcy (czy nawet *języki obce*), nijak nie pomaga w rozwiązaniu tych problemów, a być może nawet je pogłębia.

## VIII

Podsumowując niniejsze rozważania, należałoby się zastrzec, że nie było moją intencją sugerować, że sytuacja językowa w Polsce czy na ziemiach polskich w wieku XIX, która tutaj głównie zaprzętała moją uwagę da się utożsamiać z sytuacją teraźniejszą. Wielkie „etniczne czystki”, jakie nastąpiły w Europie Środkowo-Wschodniej w latach czterdziestych XX wieku sprawiły, że narody w tej części Europy stały się o wiele bardziej jednorodne, a ponadto każdy, lub prawie każdy z nich posiada swoje narodowe państwo, które zabezpiecza, choć nie zawsze skutecznie, podstawowe interesy języka narodowego, będącego wszędzie także językiem urzędowym. Do tego wszystkiego dochodzi ogromny rozwój instytucji kulturalnych (takich jak biblioteki, szkoły, księgarnie, wydawnictwa i środki masowego przekazu), posługujących się głównie lub wyłącznie tymże narodo-

---

50. Ten termin, rzadko używany w polszczyźnie, zaczerpnąłem z historii języka nowogreckiego, w którym, przynajmniej do niedawna, istniało daleko idące rozwarstwienie na język ludowy i oficjalny, por. Małgorzata Borowska, *Μπαρμπαριώργος. Książka do nauki języka nowogreckiego*, OBTA Wiedza Powszechna, Warszawa 2000, s. 11–18.

wym językiem. Nie należy też zapominać o armii tłumaczy, którzy przekładają, lepiej lub gorzej, na język krajowy niemal wszystko, co godne (lub niegodne) jest tłumaczenia, i dzięki którym posługiwanie się takimi pozornie kosmopolitycznymi mediami jak telewizja satelitarna, czy kablowa, programy komputerowe, czy Internet – nie wymaga już dzisiaj w zasadzie znajomości jakiegokolwiek języka obcego, chyba że ktoś chce używać tych mediów w sposób wyjątkowo ambitny. Przy ogromnych, choć niekoniecznie budzących entuzjazm, postępach demokratyzacji stosunków społecznych doznała poważnego ograniczenia – choć bynajmniej nie zanikła – rola języka obcego jako snobistycznego wyróżnika wyższej klasy społecznej. Dzisiaj nawet specjaliści w dziedzinie danego języka obcego – tacy jak zawodowi angliści, romaniści, czy germaniści – nie rozmawiają między sobą w języku obcym, mimo że znają go zazwyczaj bardzo dobrze. Co najwyżej pozwalają sobie, przeważnie zresztą z poczuciem winy, na styl makaroniczny, pod warunkiem, że nie podsłuchuje ich nikt „spoza branży”.

Postęp cywilizacyjny, wbrew temu, co nam się często wmawia, oznacza, jak się zdaje, stałe zmniejszanie się zakresu użycia języków obcych. Nawet podróże zagraniczne, oparte przeważnie na zasadzie „wakacji zorganizowanych” (*package tour*), które ograniczają bezpośredni kontakt z ludnością miejscową do minimum, nie dostarczają już dzisiaj skutecznego bodźca do nauki języka obcego. Nie ma więc mowy o tym, by słynne „paplanie po francusku” zostało w bliższych nam czasach zastąpione przez „paplanie po angielsku”. Z punktu widzenia poziomu znajomości angielskiego wśród Polaków może i należałoby wyrazić żal z tego powodu, gdyż ta dziewiętnastowieczna „paplanina”, związana zresztą z nie istniejącą już instytucją obcojęzycznych guwernantek, była niewątpliwie znakomitym ćwiczeniem językowym. Nie widać też nawet, by osoby pretendujące do tzw. elity, jeśli już mają problemy z czynną znajomością tego języka, przynajmniej czytały po angielsku. Fraza Mickiewicza, dotycząca postaci Telimeny z *Pana Tadeusza*: „Błysnął francuskiej książki papier welinowy” (Księga III, w. 321), dobrze charakteryzuje dziewiętnastowieczną polską damę z pretensjami intelektualnymi, ale do dam z początków XXI wieku nie ma odniesienia, co można oczywiście wiązać ze wspomnianym upadkiem czytelnictwa w naszych czasach, ale nie jest to wystarczająca diagnoza. Dzisiaj Polacy czytający po angielsku to głównie naukowcy śledzący fachową literaturę w tym języku, lub ludzie z anglistycznym wykształceniem. W czasach Mickiewicza i Sienkiewicza, katedry neofilologii na uniwersytetach przeważnie po prostu nie istniały, lub dopiero rozpoczynały swoją egzystencję. Istnieje oczywiście zjawisko zalewania języka polskiego nie zawsze potrzebnymi czy sensownymi zapożyczeniami, głównie z języka angielskiego, ale, jak się zdaje, nie zagraża ono tożsamości języka polskiego, a jego najbardziej skrajne przejawy mają przeważnie charakter efemeryczny, lub ograniczony do specyficznych środowisk.

Występuje też w naszym społeczeństwie coś w rodzaju imperatywu kategorycznego, który każe przyjąć, bez racjonalnego dowodu, że uczenie się języka, czy języków obcych jest zajęciem potrzebnym i pożytecznym. Nie neguję, że taka nauka bywa pożyteczna, ale owa „pożyteczność” to, tak jak w czasach Sienkiewicza, najczęściej tylko maska przykrywająca motywację snobistyczną. Różnica polega na tym, że demokracja naszych czasów zmusza do głębszego ukrycia, nawet przed samym sobą, tej motywacji, co niewątpliwie wpływa na osiągnięte efekty, lub ich brak. Dzisiaj mało jest takich osób, które, jak Sienkiewiczowska panna Lucy, byłyby skłonne rozbijającą przyznać, że „niezbędność” angielskiego polega głównie na tym, że uczą się go wszystkie panienki w „wyższych domach”. Więcej hipokryzji w tym względzie oznacza więcej ludzi nie mających odwagi, by poprawnie zanalizować swoje własne potrzeby i cele. W związku z tym mamy ogromne masy młodych (przeważnie) ludzi, którzy próbują rozpaczliwie nauczyć się jakiegoś języka obcego, choć coraz częściej „jakiegoś” znaczy „angielskiego”. Zazwyczaj polega to na tym, co Anglicy nazywają *going through the motions*, czyli, jak każe tłumaczyć słownik PWN-Oxford, polega to na „stwarzaniu pozorów, że się coś robi”. Zamiast narzekać na ten stan rzeczy, powinniśmy się może zastanowić, czy nie jest to naturalna reakcja obronna zdrowego organizmu przed „piekłem dwujęzyczności”, o którym tyle pisali pisarze XIX wieku. Może też jest to znakiem, żeśmy już w końcu doszliśmy do „najoświecześniejszych narodów” Europy, które, jak wiadomo, „nie mają daru do nabywania języków obcych”.

Trudno oczywiście zaprzeczyć, że, generalnie rzecz biorąc, poziom i powszechność znajomości języków obcych w Polsce w ciągu ostatnich piętnastu lat uległy pewnej poprawie. Nastąpiło to w dużej mierze w wyniku odejścia od oficjalnie lansowanej polityki językowej opartej na parytecie czterech języków obcych: rosyjskiego, angielskiego, francuskiego i niemieckiego, z wyraźnym (choć w miarę chyleńskim) skłonieniem ku upadkowi tzw. „przodującego ustroju” coraz mniej wyraźnym wskazaniem na rosyjski jako język najbardziej uprzywilejowany. „Urynkowanie” oznaczało w tej dziedzinie daleko idący upadek znajomości rosyjskiego i francuskiego, (mimo że francuski, może z wyjątkiem lat siedemdziesiątych, nie był przesadnie hołubiony przez władze PRL), przy ogromnym wzroście zainteresowania angielskim i (w mniejszym stopniu) niemieckim, przy czym relacje między tymi językami różnie wyglądają w zależności od specyfiki regionu. Jeśli chodzi o łacinę, to można powiedzieć, że była ona wczesną ofiarą ustroju komunistycznego, gdyż to właśnie od początku lat pięćdziesiątych zaczęto ją rugować ze szkół. Niestety zmiany ustrojowe z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych nie przyniosły jej odrodzenia, gdyż tak się dziwnie złożyło, że kraje Zachodu, mimo że nie zaznały komunizmu, też w latach pięćdziesiątych XX wieku odeszły od popierania łaciny w szkolnych programach i od wymagania jej znajomości.

Jaka wobec tego wszystkiego jest przyszłość anglistyki w Polsce? Dwujęzyczność jest jej siłą – przyciąga ludzi, którzy pragną osiągnąć pełną sprawność w obydwu językach, pozwala też używać umiejętności w posługiwaniu się obcym językiem w charakterze dość obiektywnego i godnego zaufania miernika osiągniętych postępów w nauce<sup>51</sup>, i na tym polega jej wyższość nad polonistyką, czy innymi niejęzykowymi studiami humanistycznymi. Ale jest też i słabością: przymus (zewnątrzny lub wewnętrzny) posługiwania się językiem obcym w trakcie zajęć z konieczności wprowadza bariery dla swobodnej wypowiedzi. Przyznać należy, iż nie zawsze musi być taki przymus czyis złym, bo ogranicza on do pewnego stopnia tzw. „słowolejstwo”. Ma to znaczenie zwłaszcza jeśli się wierzy w pachnący nieco szowinizmem kulturowym mit o rzekomo bardziej logicznej i intelektualnej naturze angielszczyzny, która niejako „wymusza” wyższy poziom myślenia. Jednak należy się obawiać, że w przekroju ogólnym przymus ten obniża zarówno poziom jak i atrakcyjność zajęć.

Można oczywiście pójść w kierunku pełnego ujawnienia teje dwujęzyczności, w nadziei uczynienia jej przez to mniej dotkliwą. Mam tu na myśli na przykład próbę używania w trakcie zajęć czy wykładów polszczyzny na równi, czy pół na pół, z angielszczyzną. Jest to jednak, jak się zdaje, klasyczny półśrodek, który niczego nie rozwiązuje, lub rozwiązuje niewiele, a przeważnie prowadzi do obniżenia poziomu językowego nie podwyższając jednocześnie w sposób znaczący tego, co idąc za Duninem Borkowskim można by nazwać „poziomem szczerości”. Można też pójść jeszcze dalej – i wzorem niektórych uniwersytetów zachodnich (zwłaszcza w krajach, które „nie mają daru do nabycia mów obcych”, czyli, między innymi, w Anglii, Francji i Niemczech) uprawiać filologię obcą w języku narodowym, zadając studentom lektury obcojęzyczne w przekładach na język krajowy, znacznie redukując w ten sposób efekt „obcości”. Takie wyjście w Polsce jest jednak, jak się zdaje, niemożliwe – przede wszystkim na skutek braku dostatecznej ufności w pozycję i znaczenie własnego języka i własnej kultury. Oczywiście nie mam zamiaru przeczyć, że czytanie – na przykład – literatury angielskiej w oryginale jest bardziej godne polecenia, niż używanie często zniekształcających sens oryginału przekładów.

---

51. Można w tym miejscu zauważyć, że ta rola języka obcego na studiach neofilologicznych już się zmniejszyła i prawdopodobnie będzie się dalej zmniejszać, gdyż w coraz większym stopniu na pierwszym roku studiów mamy już do czynienia z ludźmi językowo uformowanymi, nie tyle zresztą przez polską szkołę średnią, ile przez różnego rodzaju intensywne kursy językowe, za którymi często stoją instytucje państw i narodów zainteresowanych światowym promieniowaniem swojej kultury.

Innym raczej nieszczęśliwym aspektem dwujęzyczności jest zwyczaj publikowania w językach obcych przez pracowników naukowych filologii obcych, co zwłaszcza dotyczy anglistyki. O ile w przypadku kierunków ścisłych publikowanie po angielsku wynika, jak się zdaje, z rzeczywistej potrzeby zaznajomienia zagranicznych naukowców z naszymi osiągnięciami, to w przypadku anglistów mamy do czynienia raczej z pewną manierą, czy raczej owczym pędem, który każe wszystko, lub prawie wszystko, publikować po angielsku, przy jednocześnie bardzo słabej promocji tych publikacji za granicą. W efekcie powstaje ogromna masa tekstów, nieraz bardzo ciekawych, które nie są czytane, albo czytane są rzadko, zarówno w kraju jak i poza jego granicami.

Cytowany już Karol Miarka wypowiada się na temat szkolnej dwujęzyczności w sposób jednoznacznie pesymistyczny: „I sławnego Pestalozzowego szkoły w Yverdun upadły, skoro dozwolił, aby się uczniowie jego na przemian uczyli dwóch języków: francuskiego i niemieckiego”<sup>52</sup>. Jest zdania, że tylko całkowita i konsekwentna jednojęzyczność, rozumiana oczywiście w sensie absolutnego panowania „języka macierzyńskiego”, gwarantuje wysoki poziom nauki. Nie wykluczone, że ma on sporo racji. W takim razie studia anglistyczne i inne z zakresu tzw. filologii obcych są same w sobie tonącym okrętem, któremu nic już nie pomoże. Gorzej nawet, gdyż zanim utoną mogą zatruć zdrową tkankę kultury narodowej chorobą snobizmu, kosmopolityzmu i quasi-arystokratycznej „parafiańszczyzny”. Z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że konieczność swobodnego posługiwania się językiem obcym może dla wielu studentów być czynnikiem bardziej mobilizującym, i rozszerzającym horyzonty, niż ograniczającym.

W okresie PRL ta mobilizująca funkcja była szczególnie dobrze uzasadniona, gdyż tzw. języki zachodnie funkcjonowały wówczas nieco na zasadzie tzw. zakazanego owocu, dostarczały klucza do treści znajdujących się całkowicie poza zasięgiem wszechpotężnej cenzury. Będąc anglistą w tamtych czasach miało się świadomość jednoczesnego wykraczania poza granice kultury narodowej i bycia wiernym teźże kultury najgłębszym nakazom, a konkretnie imperatywowi walki o wyzwolenie z ciasnego, ideologicznego gorsetu, w który próbowano tę kulturę wtłoczyć. Na tym też w dużej mierze polegała, z zachowaniem należytych proporcji, „robacza” działalność wspomnianego wyżej Księdza Robaka, którego żarliwy patriotyzm nie wchodził w żaden spór z jego agenturalną działalnością na rzecz Francji. Rzecz jasna w wypadku filologów obcych chodzi mi co najwyżej o odgrywanie roli tzw. agentów wpływu, tj. osób pozytywnie, choć niekoniecznie bezkrytycznie, nastawionych do pewnej zagranicznej kultury i nie osiagających przez to żadnych bezpośrednich materialnych korzyści. Dzisiaj jednak ta komfortowa w pewnym sensie sytuacja uległa znacznej,

---

52. Karol Miarka, *Głos wołającego na puszczy Górnoszląskiej*, s. 45.



choć niecałkowitej, dezaktualizacji w skutek znanych wypadków historycznych. Niecałkowitej, gdyż kultury narodowe, nawet funkcjonujące w liberalno-demokratycznym kontekście, zawsze wytwarzają pewne formy, że tak powiem, skostniałe, które domagają się konfrontacji z analogicznymi i może niekiedy mniej skostniałymi formami wytworzonymi przez obce kultury. Pozostała filologiom ponadto tradycyjna rola dostarczycieli wykwalifikowanych kadr pośredników między jedną kulturą a drugą, czy też nawet między lokalną kulturą a światem zewnętrznym. Staje się to szczególnie ważne w epoce upadku poliglotyzmu, gdy nawet zaawansowana dwujęzyczność staje się rzadkością, nie wykluczając tzw. środowisk elitarnych. Dowodem na ten stan rzeczy jest chociażby konsekwentnie fatalne (z nielicznymi wyjątkami) wymawianie angielskich słów i cytatów, jakie słyszymy z ust telewizyjnych i radiowych dziennikarzy w Polsce.

## X

Idealem byłoby niewątpliwie wychowywać takich ludzi, jak Henry Sienkiewicz, który – jak tu starałem się wykazać – łączył w sposób niemal doskonały naturę i wykształcenie patrioty zanurzonego głęboko w rodzimej tradycji, światowca, znającego czołowe języki Zachodu nie wykluczając rosyjskiego, oraz miłośnika łaciny i kultury klasycznej. Istnieje dość materiału dowodowego świadczącego, że tego typu erudycja, choć może nie na poziomie Sienkiewicza, nie była na ziemiach polskich w XIX wieku czymś szczególnie rzadkim, podczas gdy dzisiaj ludzie tego rodzaju stanowią ewidentnie gatunek ginący.

Porównanie sposobu istnienia w ramach kultury polskiej kolejno łaciny, francuskiego i angielskiego prowadzi do wniosku, że – niestety lub na szczęście – każdy kolejny język uniwersalny jaki proponuje nam cywilizacja Zachodu podlega słabszej integracji z kulturą rodzimą, niż jego poprzednik. Pamiętać jednak należy, iż szczyt wpływów łaciny w Polsce, okres jej najbardziej intymnego zżycia się z kulturą miejscową (zbyt intymnego, zdaniem wielu, bo owocującego słynnym stylem makaronicznym) nastąpił w wieku XVII, a więc około siedemset lat po wejściu Polski w krąg cywilizacji łacińskiej. Dzisiaj procesy kulturowe przebiegają szybciej i dlatego trudno nam wyobrazić sobie relacje między polszczyzną a angielszczyzną w wieku XXII, czy XXIII.

Trzeba by na koniec zauważyć, że w historii Polski poważną rolę odegrał fakt, iż krajowe elity dla zaznaczenia swojej wyższości i odrębności od klas niższych wybierały przeważnie takie języki obce, które nie były bezpośrednio kojarzone z żadnym spośród naszych sąsiadów. Konsekwencją tego stanu rzeczy było to, że elity te, choć momentami bardzo zlatynizowane, zitalinizowane, sfrancuziałe, a ostatnimi czasy zangielszczone (czy raczej zamerykanizowane), były jednak

postrzegane jako polskie i za takie same się uważały. Zupełnie inaczej sytuacja wyglądała na przykład wśród Czechów i Słowaków, gdzie elity, a ściślej mówiąc tradycyjna arystokracja, w okresie od XVII do XIX wieku uległy, odpowiednio, germanizacji i madziaryzacji – co oznaczało kompletne ich oderwanie od pnia narodowego i przechwycenie przez silniejszych sąsiadów, w tym wypadku przez Niemcy, lub raczej Austrię, i Węgry. Nie znaczy to oczywiście, iżby można było lekceważyć (zarówno w kontekście historycznym, jak i współczesnym) wpływy niemieckie i rosyjskie (a w odniesieniu do dawniejszych czasów także czeskie) w Polsce, ani też że trzeba by im przypisywać wyłącznie negatywne znaczenie. Ich relatywna słabość z pewnością pogłębiła wyobcowanie Polaków wśród narodów z nimi sąsiadujących – lecz jest to już jednak temat na zgoła inne opracowanie.